PRZESŁUCHANIE DÄNIKENA * STR 11

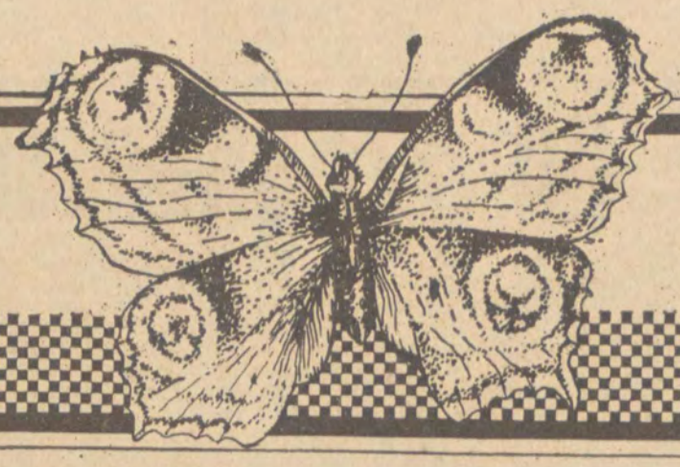

nasz człowiek w porno-shopie

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 26 (1020)
26 CZERWCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

OŚWIATA

HENRYK PIOTROWSKI

RENOWACJA WIEDZY

Jeżeli zasiejesz zboże — zbierzesz raz, jeżeli posadzisz drzewo — zbierzesz dziesięć razy, jeżeli zaszczepisz wiedzę — z jej owoców korzystać będziesz stale. Trzeba było wieków, by ta mądra maksyma przeniknęła do świadomości i stała się zasadą polityki oświatowej w wielu przodujących krajach świata. Dziś coraz częściej obok słowa „dobrobyt", „nowoczesność", „postęp" pojawia się słowo „oświata". Ta dostrzegalna synonimiczność staje się symbolem lat siedemdziesiątych. Dziś kraj, który chce wygrać walkę o jutro musi doskonalić swój szeroko pojęty system oświatowy, którego „produktem" najcenniejszym staje się nie tylko dobry fachowiec, ale nade wszystko człowiek mocno zaangażowany w doskonalenie kraju, obywatel, patriota.

Aby jednak system oświatowy mógł sprostać postawionym zadaniom musi nie tylko nadążać za szybko narastającym postępem społeczno-ekonomicznym, lecz przede wszystkim postęp ten stymulować. W tym celu powinien tak przekształcić swoje instytucje szkolne, by wyrabiały one w uczniach potrzebę kształcenia się przez całe życie oraz uruchomić takie formy doskonalenia i renowacji wiedzy, które mogłyby być dostępne każdemu pracownikowi na każdym etapie jego rozwoju intelektualnego i zawodowego.

Po to, by szkoła mogła spełnić te warunki i sprzyjać maksymalnemu rozwojowi intelektualnemu i zawodowemu sama musi mieć odpowiednio przygotowaną kadrę nauczycielską. Tylko taka bowiem kadra może przygotować rzesze fachowców, animatorów codziennej rzeczywistości. Dobrze przygotowana kadra nauczycielska to — dobrzy fachowcy (lekarze inżynierowie, architekci, technicy, robotnicy), to — wymierne efekty ekonomiczne. Ekonomiczne spojrzenie na efekty pracy szkoły nie jest sprawą nową. Tak zapewne patrzył na oświatę autor cytowanej na wstępie maksymy.

Na gruncie polskim problem kwalifikacji znalazł swoje pośrednie rozwinięcie w pracach KEN. Jej działacze przypisywali systemowi oświaty poczesne miejsce w rozwoju kraju, kiedy mówili, że „takie będą Rzeczypospolite, jakie jej młodzieży chowanie".

W XIX wieku podjęli i rozwinęli problem dwaj uczeni: sekretarz generalny Ministerstwa Oświecenia, profesor Szkoły Głównej Administracji W. Surowiecki i parający się ekonomią, publicystyką, historią i literaturą hrabia F. Skarbek. Obaj żyli w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, obaj należeli do tego samego warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W oryginalnych obserwacjach

Dalszy ciąg na str. 7

MIESZKANIE

KRZYSZTOF POGORZELEC

MIESZKANIA POTRZEBNE JAK POWIETRZE

W latach 30-tych budowano w Polsce około 35 tys. mieszkań rocznie, przede wszystkim w dużych miastach. Jakie to były — w przeważającej mierze — mieszkania, wiadomo choćby na przykładzie Łodzi. Jak podaje w swojej monografii „Łódź" Adam Ginsbert: z wodociągów korzystało 4 procent mieszkańców miasta, z kanalizacji — niespełna 30 proc., z gazu — 15 proc. i z centralnego ogrzewania — statystycznie ujmując zjawisko — „zero", czyli prawie nikt. Te dane odnoszą się do roku 1938, a tego, co się stało z naszym majątkiem narodowym — również z mieszkaniami — między rokiem 1939 a 1945 nie ma potrzeby szczegółowo przypominać: warto może jedynie jeszcze raz wrócić do łódzkiego przykładu — miasta rzekomo oszczędzonego przez wojnę: tylko w dwóch dzielnicach — na Bałutach i Starym Mieście poszło w gruzy 70 tys. izb, tzn. 20 proc. ówczesnych zasobów mieszkaniowych Łodzi. Tak więc obok dźwignięcia gospodarczego kraju, rozwoju jego potencjału przemysłowego, równie ważnym choć nie od razu i nie przez wszystkich tak pojmowanym zadaniem — stawało się budownictwo mieszkaniowe. Inaczej być nie mogło. Tak zresztą ten problem społeczny i ekonomiczny widzimy i teraz.

☆ ☆ ☆

KRZYWA PRZEMIAN

Wszystkie te fakty warto przypomnieć nie tylko przy okazji tak ważnego w naszym życiu politycznym, gospodarczym i społecznym wydarzenia — myślę tutaj o VIII Plenum KC PZPR, na którym w sposób kompleksowy i daleko wybiegający w przyszłość, jeszcze raz podjęto problemy rozwoju budownictwa mieszkaniowego w naszym kraju.

„Biuro Polityczne wychodzi wobec Komitetu Centralnego z propozycją przyspieszenia realizacji opracowanego w roku 1972 perspektywicznego programu budownictwa mieszkaniowego. Za podjęciem takiego zadania przemawiają ważkie i pilne potrzeby społeczne".

(Z wystąpienia E. Gierka na VIII Plenum KC PZPR).

Są to jednak — mimo wszystko — tylko „ułamki" całego, dodajmy — bardzo skomplikowanego społecznie i ekonomicznie zagadnienia i trzeba je pełniej przedstawić choćby z tego względu, że według szacunków, aktualnie około 1350 tys. polskich rodzin ciągle czeka jeszcze na wyraźne poprawienie warunków mieszkaniowej egzystencji.

Wypada przy tym na wstępie wyjaśnić, może raczej — przedstawić pewną ważką kwestię, bowiem dopiero w tym dodatkowym świetle w sposób właściwy zaprezentuje się

Dalszy ciąg na str. 3

SAMORZĄD

JACEK INDELAK

GDZIE SZUKAĆ CHĘTNYCH?

Wieś Rąbień w gminie Aleksandrów, sąsiadująca z wielką Łodzią, postanowiła powołać na swoim terenie komitet osiedlowy. Vox populi... Mieszkańcy wsi dopięli swego. Wyłonili spośród siebie komitet, który ostro wziął się do działania. W ślad za Rąbieniem poszedł pobliski Bełdów. Do powołania komitetu osiedlowego przymierza się też ostatnio Andrespol.

Skąd ten pęd powoływania na wsi samorządów mieszkańców, typowych przecież dla aglomeracji miejskich?

Sprawa jest prosta. Sołtys — niczego mu nie ujmując — to jednak ktoś w rodzaju urzędnika, zaprzątniętego wieloma obowiązkami, jakie wiążą się z jego funkcją, którego można też na dywanik wezwać, obsobaczyć, jak się wychyli. A komitet osiedlowy to ciało społeczne, którego zdania nikt lekceważyć nie może. Nawet nacz. lnik gminy uznaje w nim partnera, z opiniami się liczy, postulaty uwzględnia, do dyskusji zaprasza.

PIERWSZE MIEJSCE ŁODZI

Po ostatnich wyborach do organów samorządu mieszkańców, jakie odbyły się równo rok temu, istnieje w całym kraju 27.196 komitetów: domowych, obwodowych i osiedlowych. Bez mała co czwarty z tych komitetów działa na terenie miejskiego województwa łódzkiego. Zarejestrowanych jest tu obecnie 6.771 komitetów: 191 — obwodowych, 6.580 — domowych. W ich skład wchodzi 29.374 osób, stanowiąc reprezentację większości mieszkańców województwa.

Następne w kolejności — stołeczne województwo warszawskie ma 1.666 komitetów. Na trzecim miejscu znalazło się województwo wałbrzyskie z 1.452 komitetami, a na następnym — województwo katowickie, na którego terenie działa 1210 komitetów. Taka jest czołówka. Wiele województw ma tylko kilkadziesiąt ko-

Dalszy ciąg na str. 5

KSIĄŻKA

OD MARATONU DO ŚLĄSKOWSKIEGO PŁOTU

Bo nie do Aten — szacowny tytuł antyczny z okładki nie przylega do książki. Nie wydaje mi się również, by wiązała się z resztą opowiadań rzecz o klęsce olimpijczyka — długodystansowca, który zbuntował się przeciw ustaleniom trenera i swym możliwościom fizycznym. Przyznajmy jednak, że posiada ona doskonałą dramaturgię i mikropsychologię. Pochwalmy też opowiadanie o przyjeździe do miasta na zachodzie Polski pisarza radzieckiego — oficjalnie na sympozjum, zaś, jakbyśmy to powiedzieli, prywatnie, aby odwiedzić miejsce śmierci żołnierskiej kolegów i swego cudownego ocalenia („W czepku urodzeni"). Pochwalmy „Lato w Lesie" — nowelę, w której autor rozbija nasz mieszczuchowski mit o arkadyjskości „lata leśnych ludzi", czy mówiąc zgodnie ze współczesną radosną twórczością językową — pracy zawodowej i życia osobistego „drzewiarzy".

Po pochwaleniu paru opowiadań luźnych czas, byśmy zatrzymali się nad ich grupą podstawową. Jest nią tetralogia „Portret", „Gołębie", „Słoje w drzewie" i „Wizyta". Opowiadania te podejmują właśnie temat, którego rzekome niepodejmowanie stale wytykają pisarzom m. in. coroczni terenowi zagajacze masówek z okazji np. Dni Oświaty. I długo jeszcze będą wytykać, jako że stosowany przez nich koguci system powtarzania z zamkniętymi oczyma raz wyuczonej frazy, nie sprzyja aktualizacji spostrzeżeń i ocen.* Koniusz ukazuje w tych opowiadaniach stare i nowe dnia jak co dzień, obyczaju, pracy i wypoczynku oraz kodeks imponderabiliów ludzi osiedla górniczego w Śląskim Zagłębiu Węglowym, a także różne drogi awansu środowiskowego. Opowiadania te (choć ci sami właściwie ludzie różnie się w każdym nazywają i różne profesje artystyczne uprawia ten sam praktycznie narrator przybywający z wielkiego świata do domu rodzinnego) stanowią niezmiernie zwartą mini-powieść. Zwartą i zadziwiająco pojemną. Tak pojemną, że na trzech z kawałkiem arkuszach mieści się niepowtarzalne życie kilkudziesięciu postaci, niezmiernie wyrazistych i reprezentatywnych dla różnych pokoleń i wszystkich bez mała pięter hierarchii środowiskowej stanu górniczego. Dodajmy, że wyróżnikami tych pokoleń są nie tyle właściwości wynikłe z samego działania siły fatalnej kalendarzy: gregoriańskiego i biologicznego, co efekty adaptacji do przemian społeczno-obyczajowych i cywilizacyjnych. Poza panoramą życia osiedlowego, bynajmniej nie statyczną, lecz ukazaną w przemianach nie ustających, dokonuje się dodatkowo jeszcze na tej tak skąpej przestrzeni konfrontacja obyczajowości osiedlowej z wielkomiejską, inteligencką, opatrzoną w dodatku stemplem awangardowości.

Wydawałoby się, że pomieszczenie tego wszystkiego w czterech maleńkich opowiadaniach jest nie do przeprowadzenia. A jednak udało się to Koniuszowi. Udało — dzięki żelaznej autodyscyplinie i umiejętnym sięganiu do doświadczeń nabytych — paradoks — w toku działalności poetyckiej, jak np. najwyższa kondensacja, stałe używanie elipsy oraz sięganie po obraz czy rekwizyt o właściwościach odpowiadających synekdosze. Możliwości maksymalnie zwięzłej wypowiedzi sprzyja wreszcie wybór narratora: nie musi on niczego dociekać, dowiadywać się żmudnie na kartach opowiadań — wszystko wie bądź w lot chwyta, jako że i wywodzi się z tego środowiska i, jako artysta, posiada wyjątkowe zdolności obserwacyjne. A zatem udało się Koniuszowi sprasować na małej przestrzeni materiał treściwy, który przy użyciu innej konwencji mógłby wystarczyć na współczesny odpowiednik (nawet i pod względem ilości arkuszy) „Wyrąbanego chodnika" Morcinka.

Wspomnieliśmy o konfrontacji obyczajowości i kultury osiedlowej ze stylem życia zwyczajowo ocenianego jako wyższy. Ale — rzecz charakterystyczna i nieczęsto trafiająca się w literaturze, gdy w grę wchodzi tego typu przeciwstawienie — narrator jak najdalszy jest od tendencji „kulturträgerskich", wprost przeciwnie, nie opuszcza go swego rodzaju poczucie winy, a nawet zdrady, oraz chęć zatrzymania utraconego czasu przy pełnej świadomości, że jest to równie niemożliwe jak powrót po urodzeniu do łona matki. Ta nie opuszczająca narratora świadomość przemijania świata, z którym czuje się związany i swej nieobecności w nim dla szansy przedłużenia jego imponderabilów na czas zwany umownie teraźniejszym — nadaje owym opowiadaniom charakterystyczny nastrój rzewności i elegijności, której nie są w stanie osłabić wprowadzane na siłę elementy turpistyczne (m. in. obsesyjny motyw śliny na ustach ludzi chorych, przerażonych czy umarłych) i próby kompromitacji porté parole autora. Zabiegi natchnione, rzecz jasna, przez narzucony ongiś pisarstwu kontrowersyjny rygor „wstydu uczuć". Szczególnie wzruszający jest epizod, w którym („Wizyta") narrator-malarz zażartowawszy sobie mało taktownie z zaniedbanej, roztyłej szwagierki, prostej kobieciny, że namaluje jej akt — przekonuje się, że tamta, zamiast, jak oczekiwał, oburzyć się na „zbereźnieństwo" odzyskuje nagle wiarę w swą atrakcyjność jako kobiety i rozpogadza się. A także scena („Gołębie"), gdy na pogrzebie ukochanej babki wnuk-intelektualista — nie wierzący i odzwyczajony od niezbędnej na pogrzebach roli hieratycznego statysty odwiecznego ceremoniału, chwyta za łopatę i ku powszechnemu zdumieniu energicznie pomaga grabarzom zakopywać trumnę. Wydaje mu się bowiem, że tym właśnie czynem dopełnia jakiegoś obrządku pietystycznego.

Entuzjastyczna (wolno mi, bo krytyk jest przecież czytelnikiem, a nie piszącą na maszynie krą lodową) ocena śląskiej tetralogii Koniusza nie zwalnia mnie od wytknięcia autorowi kiksu. Uczynił go w zakończeniu noweli „Festiwal w miasteczku". Jest to zakończenie wypisz wymaluj jak z minionego okresu upolityczniania przez siłę i grubo nie zawsze z sensem. Młody rozkochany w teatrze pomagier robotnika budowlanego chce na nowo odczytać „Hamleta", bo Hamlet (postać) jest dlań „wielkim robotnikiem, największym robotnikiem", a o ile wiadomo, robotnicy branży budowlanej najczęściej „hamletyzują" w murarski poniedziałek.

Janusz Koniusz „Bieg spod Maratonu do Aten", Wydawnictwo Poznańskie 1976; cena zł 15.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

*) M. in. na gruncie łódzkim takie utyskiwania i apele na ślepo (że środowisko nie pisze książek o Łodzi) trwały wbrew stanowi faktycznemu, o którym świadczą katalogi i bibliografie, przez szereg lat. Doprowadzony kiedyś nimi do białej gorączki spowodowałem w 1973 zorganizowanie w MKPiK wystawy powojennych łodzianów samego tylko WŁ pt. „Wydawnictwo Łódzkie swemu Miastu", która unaoczniła wszystkim komu wiedzieć ochota i powinność, że książek o Łodzi, w tym w większości z literatury pięknej, powstało od 1969 roku kilkaset. Czy unaoczniła?

SAMO ŻYCIE

KRÓTKA PAMIĘĆ

Z pamięcią bywa różnie. O iluż to sprawach zapominamy codziennie! Na przykład wczoraj... jeśli sobie dobrze przypominam, zapomniałem o jednej rzeczy, ale dziś (choć gdy piszę te słowa jest dopiero południe) już o trzech. Oczywiście, pamięć można ćwiczyć. Niektórzy to robią. Na przykład pewien poeta, który co jakiś czas odwiedza redakcję, dopytując się o honorarium (odebrał je parę lat temu). Jednak znajomy lekarz jest zdania, że o wszystkim można pamiętać. Wprawiając się przez wiele lat dorobił się imponującej pamięci. Do drobiazgów. Obecnie wszystko wypomni, niczego nie zapomni, bo już nie może zapomnieć. Stał się, krótko mówiąc, ofiarą samego siebie.

Ale obok tych, którzy pamięć pogłębiają, przedłużają, spotkać można i takich, co też doskonalą, lecz jakby w kierunku odwrotnym. Napotkane niedawno właścicielki tzw. krótkiej pamięci umieją z tej „ułomności" zapewne nie raz zrobić dobry użytek... dla, niestety, niezbyt uczciwych celów.

Krótka pamięć! — cóż to za wygoda dla urzędników i kierowniczek, dla tych, którzy kiedyś coś komuś obiecali pomóc, załatwić, zobowiązali się, a teraz za nic nie mogą sobie przypomnieć o co szło. Co za sposobność, aby wykręcić się, wymigać, odprawić z kwitkiem... Krótka pamięć jest zjawiskiem społecznym, choć przejawia się najczęściej w sprawach drobnych; dziś przedstawię jeden przykład jej mocno uciążliwych skutków.

Kiedy 1 czerwca 1977 r. zatelefonowałem do **Zakładu Usługowego nr 2 Spółdzielni Pracy Galanterii Papierniczej „Introplast"** mieszczącego się przy **pl. Wolności 3**, pani z drugiej strony telefonicznego kabla, po wysłuchaniu mojej prośby, zgodziła się ją spełnić, ale pod warunkiem, że zjawię się w jej zakładzie nazajutrz jak najwcześniej rano. Szukałem bowiem takiego punktu, który podjąłby się ekspresowego wykonania oprawy introligatorskiej — z dnia na dzień. Odłożyłem słuchawkę z przekonaniem, iż mogę spać spokojnie, bo oto zasłużona skądinąd firma, jaką jest Spółdzielczość Pracy, i tym razem — jak to się metaforycznie mówi — „wyjdzie naprzeciw klienta".

Kiedy następnego dnia zjawiłem się w **Zakładzie Usługowym nr 3**, wyszła co prawda naprzeciw mnie jakaś pani, ale tylko po to, aby mi oznajmić, że to nie z nią rozmawiałem telefonicznie. Zaraz też podrzuciła mnie kierowniczce, ku której — o święta naiwności! — skierowałem ciągle jeszcze ufny swoje nadzieje.

— Czy to pani kierowniczka rozmawiała wczoraj z tym panem? — spytała pracownica.

— Nie — odpowiedziała kierowniczka.

— Jak to, nie pamięta pani? — coś we mnie zgęstniało.

— Nie, nie przypominam sobie — odparła.

— To niemożliwe! — wykrzyknąłem, wiedząc, iż musiała to być któraś z nich, gdyż obsługa w tym zakładzie jest dwuosobowa.

— A na jaki numer pan dzwonił? — zapytała przebiegle pracownica.

— Na ten tu — odpowiedziałem, wskazując palcem na tabliczkę: „Pl. Wolności 3, tel. 381-46.

— Aaa, nie pamięta pan! — zatriumfowały obie sympatyczne panie.

— A dlaczego miałbym pamiętać numer, który nakręciłem tylko raz w życiu i dziś nie jest mi już do niczego potrzebny?

Był to dobry moment do rozpoczęcia awantury. Moje panie były „górą"... Nie dałem się jednak sprowokować.

— Panie, tu już było kiedyś paru takich, co mówili, że dzwonili, a to guzik prawda! — poinformowały mnie panie. Po czym obie wygadały się jednak, że poprzedniego dnia, po południu (i jak wywnioskowałem: już po moim telefonie) przyjęły 18 zamówień. Siłą rzeczy moje mogło być zrealizowane dopiero za 3 dni. Jeśli zaś mi się śpieszy — poradziły panie — to mogę przejść się, poszukać w paru innych punktach...

Dźwignąłem ciężką torbę...

Dziś nie wiem do końca, czego jestem ofiarą. Czy twardych, kupieckich praw (jakąż bowiem punkt ma gwarancję, że rzeczywiście objawię się następnego dnia...? Czy nie lepiej przyjąć inne zamówienie a jutro jakoś się to załatwi...?), czy też może jednak skutków owej „krótkiej pamięci"?

A może po prostu padłem ofiarą obu rzeczy naraz?

TOMASZ SOLDENHOFF

OBYCZAJE ZA GRANICĄ

SZKLANKA WINA

— Tomamos una copa — wychylmy jedną szklaneczkę. Rzeczywiście, to już stało się w Hiszpanii drugą naturą człowieka by gardło przepłukiwać możliwie często a gruntownie. Pierwszy koniaczek, ten przy śniadaniu, wcale nie zaszkodzi. Po dwóch godzinach pracy zapada kilkunastominutowa pauza. Na przekąskę. Na solidną szklanicę mocnego wina. O cóż chodzi? Dobre wino nie jest złe. Obiad spożywa się o 14. Wtedy to już żarty na bok. Wtedy to już lecą dwie szklanice wina popędzane dużym koniakiem. Jak siekiera bez klina, tak obiad bez wina. Nie daje rady.

A potem to już ten łańcuszek nie urywa się ani przez moment. Tu kielich, tam szklanica i tak do wieczora. Przy kolacji przedostatnia „copa". Później, gdy gasi się telewizor, już ta ostatnia. Na dobry sen. Na dobre trawienie. Skąd forsa na takie chlanie w niezbyt przecież zamożnej Hiszpanii? To proste. Tam układ cen jest diametralnie różny od naszego. Kilogram polędwicy tyle tam kosztuje co 10 półlitrówek popularnego choć całkiem strawnego koniaku. O winach już lepiej nie mówić. Są tanie jak barszcz. Są tańsze od wody mineralnej, dużo tańsze od kawy i herbaty.

W Hiszpanii pije się ogromnie dużo. Pije się w biurach, pije w fabrykach podczas pracy, pije się na placach budowy. Wszędzie się pije. Cały dzień na okrągło. Sączy się to i celebruje. Smakuje się to językiem, rozprowadza po całym podniebieniu. Żeby poczuć i ocenić. Hiszpania jest alkoholowym mocarstwem. Przeciętny, zatem statystyczny, Hiszpan wychyla 115 litrów alkoholu rocznie. Odliczmy dzieci. Odliczmy kobiety. Tylko Francuzi piją więcej. I Portugalczycy. W Hiszpanii 35.000 małych i dużych firm wyrabia rocznie kilka miliardów litrów samego tylko wina. A gdzie koniaki? Gdzie likiery? W Hiszpanii pije się cały dzień. Dla wigoru, dla lepszego nastroju. Wino serce rozwesela. Wino rozum odmienia. Kto dużo pije, ten długo żyje.

Jednak w Hiszpanii, gdzie duże i częste picie należy od wieków do dobrego obyczaju uznano, że przybierający na sile alkoholizm przeradza się w narodową plagę. Mówi się już oficjalnie o pół milionie praktycznie rzecz biorąc nieuleczalnych alkoholików. Mówi się o 2 milionach obywateli, którzy ten próg każdej chwili mogą przekroczyć. Mówi się o 5 milionach ludzi zagrożonych alkoholizmem. Mówi się o tym w oficjalnych enuncjacjach. Mówi się nie bez przyczyny. Cała Hiszpania liczy przecież wszystkiego 35 milionów mieszkańców.

Władze uderzyły na alarm. Przede wszystkim z uwagi na motoryzację. Samochody opanowały półwysep iberyjski bez reszty. Hiszpania produkuje po 700—800.000 wozów osobowych rocznie. Pijany kierowca. Nie, już lepiej zamknąć oczy. Gdy się je otworzy, od razu się zauważa, że czerwone światło na skrzyżowaniach działa na madryckich taksówkarzy jak płachta na byka. Dopiero wtedy ten pedał naciskają. Prują skrzyżowaniem jak rakieta. Żniwo? Jeszcze jakie. Tysiące i tysiące zabitych na hiszpańskich drogach.

Więc kampanię antyalkoholową rozpoczęto. W radio, telewizji. W gazetach. Wiadomo jednak jak to bywa z nawykami. Już łatwiej górę przesunąć. Efekty tej kampanii są nikłe. Właściwie są żadne. Hiszpanie wiedzą lepiej. Hombre, czego się czepiać? W Peru żuje się kolę, w Hiszpanii pije się wino. Pije się dla animuszu, dla większej energii, pije po to, żeby lepiej się pracowało, lepiej kochało. Wino zmiękcza twarde łoże, od wina głupieje dziewczyna.

Uwaga na marginesie.

— Tomamos una copa. Hiszpańskie wina, w naszych sklepach sprzedawane, mają ładne etykietki. Ładne flaszki. Są mocne. To prawda. Ale oceniać jakość wina jego procentową mocą, to tak jak oceniać rzeźby według tonażu, wartość płótna według metrażu. Już lepsze od win hiszpańskich są węgrzyny. Dużo lepsze. O dziwo, dużo też tańsze. W ogóle coś mi się zdaje, że ten cennik układa ktoś, kto tyle się zna na winach, co ja na chińskich pacierzach.

HARHARA

INFORMACJE

Chór UŁ i „Ad Rem" zdobyły I miejsca

W Kraśniku zakończył się IX Ogólnopolski Festiwal Pieśni o Ojczyźnie. Uczestniczyło w nim ponad 500 wykonawców z 26 województw.

Wśród zespołów instrumentalno-wokalnych pierwsze miejsce przyznano zespołowi „Amati" z Bytowa (woj. słupskie), drugie — zespołowi z Brzozowskiego Domu Kultury (woj. krośnieńskie), natomiast trzecie miejsce uzyskał zespół „Antki" z Łodzi.

W kategorii zespołów wokalnych pierwsze miejsce zdobył zespół „Ad Rem" z Łodzi przed zespołem „Errata" z Bystrzycy Kłodzkiej i zespołem „Psotki" z Kielc.

W kategorii chórów pierwsze miejsce uzyskał chór Uniwersytetu Łódzkiego. Drugie przyznano chórowi męskiemu „Cantilana" z Wrocławia, a trzecie chórowi kameralnemu z Goleniowa (woj. Szczecin).

Pierwsza encyklopedia matematyczna

Przed kilku dniami ukazał się w Moskwie pierwszy tom „Encyklopedii Matematycznej". Jest to pierwsze tego typu wydawnictwo na świecie. Encyklopedia zawierać będzie ponad 1300 artykułów przeznaczonych dla czytelników o różnym poziomie przygotowania. Artykuły do pierwszego tomu encyklopedii napisało ok. 300 radzieckich uczonych.

Album płytowy Szołochowa

Z dużym zainteresowaniem przyjęty został album płytowy „Michał Szołochow", wydany przez firmę „Melodia". Na płytach utrwalone zostały fragmenty przemówień wybitnego pisarza radzieckiego, a także jego wspomnienia o przyjaciołach — literatach. Szczególna wartość posiadają zapisy autorskiej interpretacji końcowych stron „Cichego Donu" oraz fragmentu „Zaoranego ugoru". Komplet płyt zawiera ponadto fragmenty innych utworów M. Szołochowa, czytanych przez znanych aktorów.

„Lajkoniki" dla filmów WFO

Przed kilkunastu dniami zakończył się w Krakowie XVII Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Jury, po obejrzeniu 58 filmów przyznało Grand Prix i „Złotego Lajkonika" Irenie Kamieńskiej za film pt. „Zapora" (WFD).

Dwie nagrody specjalne, „Srebrne Lajkoniki" otrzymali: Bogdan Dziworski za „Hokej" (WFO) i Radosław Piwowarski za „Odwiedziny" (WFD — „Poltel").

Pięć nagród głównych „Brązowe Lajkoniki" otrzymali: Tadeusz Pałka za „Wygrać — przegrać" oraz „Wiatr jest silniejszy" (WFD), Ryszard Antoniszczak za „Fantomobil" (SFA), Witold Żukowski za „Rzeźbiarze z Ziemi Sieradzkiej" (WFO) i Anna Dyrka-Brzozowska za „Dziesięć pierwszych minut — inaczej" („Poltel").

„Familijna" wśród nagrodzonych

W Wałbrzychu zakończył się trzydniowy II Ogólnopolski Turniej Kapel i Orkiestr Podwórkowych, zorganizowany z okazji Dni Wałbrzycha. W turnieju wzięło udział 10 zespołów. Pierwsze miejsce i główną nagrodę zdobyła kapela „Ojra" z Zakładowego Domu Kultury „Silesiana" w Dzierżonowie.

Drugie miejsce przyznano kapeli „Familijnej" reprezentującej Dom Kultury „Lodex" w Łodzi.

M. Z. Wojalski laureatem

W ogólnopolskim przeglądzie kolorowych przeźroczy pn. „Diaporama dolnośląska" zaprezentowano 35 filmów. Jury pierwsze miejsce przyznało filmowi pt. „Witamy w Łodzi" znanego łódzkiego przewodnika Mirosława Zbigniewa Wojalskiego. Tego samego autora drugi film „Wiosna w Piotrkowie" otrzymał wyróżnienie.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Foto: J. Kubik

MIESZKANIA POTRZEBNE JAK POWIETRZE

Dalszy ciąg ze str. 1

owa ponad milionowa rzesza rodzin ubiegających się o nowe mieszkania.

A chodzi o nic innego, jak tylko o politykę partii i rządu w odniesieniu do kwestii mieszkaniowej.

Ten problem — bez względu na inne palące potrzeby ekonomiczne i społeczne — zawsze znajdował się w centrum uwagi. Nawet w pierwszych latach po wyzwoleniu, mimo priorytetów — zrozumiałych przecież dla dziedzin produkcyjnych, podejmowaliśmy kroki ważące dla sytuacji mieszkaniowej, choć — mówiąc otwarcie — były to próby nie mające odpowiedniego wsparcia, bo i skąd, przede wszystkim technicznego. Był to jednak start — jak i we wszystkich innych sferach naszego życia. Weźmy więc pod uwagę dłuższy okres czasowy, co w przypadku takiej dziedziny jak budownictwo mieszkaniowe, jest w pełni uzasadnione. A więc Łódź: między rokiem 1945 a 1970 wybudowaliśmy w naszym mieście ponad 225 tys. izb mieszkalnych, to znaczy — licząc średnio 3 izby na mieszkanie — ponad 85 tys. samodzielnych i znakomicie lepiej, w porównaniu do tzw. „przedwojennych", wyposażonych mieszkań. Jak jednak łatwo zauważyć i ten wysiłek był tylko w gruncie rzeczy odrobieniem — prawda, że jakościowo różnym — strat, jakie nasze miasto poniosło w swojej substancji mieszkaniowej w latach 1939—1945.

Taki rezultat nie mógł nikogo zadowalać, a przede wszystkim nie przynosił poprawy warunków życia tych rodzin, które wprawdzie mieszkania posiadały, ale ich stan techniczny, użytkowy daleko odbiegał od racjonalnie rozumianych norm.

Odpowiedź na tę kwestię — w całym kraju, również i w Łodzi — przyniosły lata 1971—1975, kiedy to tylko w naszym mieście wybudowaliśmy ponad 44 tysiące mieszkań, a biorąc pod uwagę całe województwo łódzkie — około 55 tysięcy. Powtarzam: m i e s z k a ń a nie izb. W dodatku o zwiększonej powierzchni w stosunku do dawniej obowiązujących normatywów. Krótko mówiąc: przybyło naszemu województwu 2.6 mln m. kw. powierzchni mieszkalnej.

Podstawą dla tak szybkiego rozwoju budownictwa w naszym regionie w stosunkowo krótkim czasie była Uchwała nr 272 Rady Ministrów z roku 1971, czyli „Program Rekonstrukcji i Modernizacji Łodzi".

Łódź nie była w tym względzie jakaś odosobnioną wyspą na mapie kraju i to też trzeba podkreślić, jako że lata 1971—1975 zamieniły Polskę w jeden wielki plac budowy. Doskonale oddaje ten proces przeobrażeń liczby wyjęte z „Rocznika Statystycznego", a znajdujące praktyczne potwierdzenie na każdym kroku, w najodleglejszym zakątku kraju. W latach 1971—1975 wybudowaliśmy więc 1 milion 125 tysięcy mieszkań, co oznacza poważne przekroczenie zadań przyjętych na VI Zjeździe PZPR. Ten mieszkaniowy skok dał o sobie znać dosyć wyraźną zmianą wskaźników, które zwykło się przyjmować za określające warunki materialnej egzystencji danego społeczeństwa. Tak więc dla przykładu, jeśli w roku 1970 na i izbę przypadało — średnio w całym kraju — 1,37 osoby, to w pięć lat później już 1,21. Zachodziły inne procesy ściśle związane z nowoczesnym traktowaniem budownictwa mieszkaniowego jako części składowej ogólnych warunków, w których człowiek żyje, odpoczywa po pracy, uczy się, właśnie, po prostu — ż y j e. Jeśli w osiedlach realizowanych przed rokiem 1971 na jeden hektar powierzchni przypadało wg projektów 380 osób, to obecnie 270. Tylko pozornie są to liczby nieco odległe od zasadniczego, interesującego nas tutaj tematu: mieszkania.

Na budownictwo mieszkaniowe, gospodarkę komunalną oraz rozwój przemysłu mieszkaniowego i branż pokrewnych wydaliśmy w latach 1971—1975 ponad 640 miliardów złotych, to znaczy ok. 20 proc. wszystkich nakładów poniesionych w całej gospodarce.

Nie mogę sobie przy tym odmówić podjęcia jeszcze dwóch spraw, które, jak sądzę, mają i będą mieć w przyszłości ogromne znaczenie w dalszym kształtowaniu tak polityki, jak i w ogóle sytuacji mieszkaniowej w naszym kraju.

Pierwsza kwestia łączy się z podaną wyżej kwotą 640 miliardów złotych, które, jak się też już rzekło, „poszły" na m.in. rozwój przemysłu mieszkaniowego. Lecz to było całkiem inne spojrzenie na tę dziedzinę produkcji, jako że przez długi okres — mimo wszystko — operowaliśmy tradycyjnymi, tylko lekko unowocześnionymi metodami, a budownictwo było chyba, nie licząc oczywiście rolnictwa, najbardziej daleką przemysłowi dziedziną. W latach 1971—1975 w świadomość gospodarczą wtargnęło takie pojęcie jak „fabryka domów", ze wszystkimi, oczywiście, konsekwencjami technologicznymi, organizacyjnymi, zawodowymi na placu budowlanym. A więc w grę wchodził p r z e m y s ł, a nie rękodzieło.

Ale nie tylko o to chodzi. Kto wie czy nie ważniejsze było jeszcze co innego, a mianowicie zmiana stosunku do samego problemu dostarczenia społeczeństwu nowych mieszkań. Z uchwał VII Zjazdu PZPR można z łatwością wyczytać ową istotną zmianę, będącą zresztą naturalną konsekwencją całego socjalnego programu partii. Chodziło już nie o mieszkania „w ogóle", ale o mieszkania jako element kształtujący politykę ekonomiczną, strukturę wydatków ludności, wydajności, wiązania się ze środowiskiem, miejscem pracy. Ogromnie ważna rzecz — to mieszkanie, na które czeka jeszcze 1.350 tys. polskich rodzin!

NIKT ZA NAS TEGO NIE ZROBI

Pomówmy teraz o sprawach, które rozstrzygają się już dziś, to znaczy o sytuacji mieszkaniowej, jaką będziemy mieli w roku 1980, to znaczy w rezultacie wykonania zadań bieżącej pięciolatki.

Otóż — w latach 1976—1980 chcemy wybudować w miastach i wsiach 1.575 tysięcy mieszkań, a więc o ok. 450 tys. mieszkań „ustawiamy poprzeczkę" wyżej, aniżeli w poprzednim okresie lat 1971—1975. Osiągnięcie takiego wyniku daje już całkiem niezłą średnią: 10 mieszkań budowanych na 1000 osób. Dodajmy, że rok 1975 zamknęliśmy, gdy chodzi o wskaźnik wzrostu liczby budowanych mieszkań na 1000 osób, znacznie gorszym rezultatem: 7,7.

Odnotowujemy inne pomyślne zjawisko będące konsekwencją dotychczasowego rozwoju budownictwa mieszkaniowego: w roku 1976 na 1000 zawartych małżeństw wybudowaliśmy w miastach i wsiach 1.138 mieszkań, gdy w roku 1971 tylko 894. Tak więc po raz pierwszy ilość nowych mieszkań wyprzedza liczbę nowych rodzin.

Niestety, nie oznacza to, że problem mieszkaniowy mamy — jak się to mówi — z głowy. Wręcz odwrotnie jak to wynika z liczby oczekujących na klucze do własnego „M—3" czy „M—4" w przypadku młodych stażem rodzin, a przecież tych właśnie jest najwięcej w kolejce, rejestrujących się w biurach Wojewódzkich Spółdzielni Mieszkaniowych.

Czeka nas jeszcze ogromna praca, by rozwiązać ten społeczny problem: samodzielnego mieszkania dla każdej rodziny.

Takie możliwości istnieją, a wskazują je postanowienia VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Cel można osiągnąć m.in. przez:

✲ dalsze znaczne zwiększenie nakładów na rozwój przemysłu mieszkaniowego do 115 miliardów złotych tylko w latach 1976—1980;

✲ trzeba oddać do użytku w przyszłej pięciolatce ok. 2 miliony mieszkań, ale jest to tylko program minimalny, bowiem jeśli chcemy odczuwalnie skrócić czas oczekiwania na nowe mieszkanie, to powinniśmy zbudować jakieś 2,3—2,5 miliona mieszkań do roku 1985;

✲ łącznie biorąc, w grę wchodzą ogromne nakłady finansowe, materialne. Jeśli program ustalimy tylko na poziomie 2 milionów mieszkań, to trzeba się liczyć z wydatkami rzędu 1 biliona złotych. Jest to akurat tyle, ile w roku 1973 wynosił cały nasz wytworzony dochód narodowy.

Jest zrozumiałą rzeczą, że tak ogromny wysiłek państwa dla rozwiązania problemu mieszkaniowego w naszym kraju będzie wymagał szeregu posunięć wspierających, być może nawet pewnych zmian w dotychczasowym programie inwestycyjnym, a już z całą pewnością pomnożenia wysiłków na rzecz zracjonalizowania, efektywizacji samego budownictwa. Właśnie.

REZERWA PRZYŚPIESZENIA

Odczuwalna poprawa sytuacji mieszkaniowej w naszym kraju zależy od wielu składników zapowiedzianego przez partię nowego manewru gospodarczego, w grę wchodzą z pewnością olbrzymie pieniądze, ale i to, czy zdołamy pokonać od lat występującą w naszym budownictwie barierę. Krótko mówiąc — czy i na ile zdołamy polepszyć jakość wykonania nowych mieszkań. W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć bardzo interesujące obliczenie. Otóż, koszt poprawek przeprowadzonych przez budowlanych w oddanych do użytku domach, a więc materiałów, robocizny, itp. ocenia się na jakieś 5 do 7 proc. wartości tych samych domów. Owe 5 proc. kosztów dodatkowego zaangażowania maszyn, urządzeń, ludzkiej pracy, to na okrągło licząc jakieś 75 tys. mieszkań, jeśli przyjąć za podstawę rozmiary budownictwa mieszkaniowego z roku bieżącego. Mamy więc do czynienia z ogromną, „wewnętrzną rezerwą" i chyba jej uruchomienie, równoważne stawianie akcentów przy słowach „ilość" oraz „jakość" zdecyduje o powodzeniu. Tym bardziej, że choć w dalszym ciągu popyt na mieszkania wyprzedza podaż, to przecież apetyt rośnie w miarę jedzenia. I nic w tym nie widzę zdrożnego! Nie ograniczajmy się zresztą do owych 5 czy 7 procent tkwiących w „doróbkach". Krytycznego rachunku oczekuje praktycznie wszystko to, co się łączy z budownictwem — system ekonomicznych rozliczeń, projektowanie, nadzór, funkcjonowanie spółdzielni, kooperacja branż pokrewnych, jak i tak trudne do zdefiniowania elementy, jak choćby zmiana mentalności przeciętnego członka załogi przedsiębiorstwa budowlanego.

Tak — do niełatwego zadania się zabraliśmy, ale przecież chodzi o mieszkania — dla nas wszystkich.

✲ ✲ ✲

„Kwestia mieszkaniowa stanowi obecnie decydujące ogniwo w procesie rozwiązywania społecznych problemów naszego narodu. Od rozwiązania tej kwestii w niemałym stopniu zależy szczęście wielu młodych rodzin, liczebność przyszłego pokolenia, jego pomyślność i wychowanie, a więc rozwój narodu.

Mieszkanie staje się coraz ważniejszym warunkiem awansu cywilizacyjnego milionów ludzi, ich uczestnictwa w kulturze, jakości ich pracy i wypoczynku.

Za maksymalnym przyśpieszeniem budownictwa mieszkaniowego przemawiają zatem zarówno racje społeczno-gospodarcze, jak też ideowo-moralne".

(E. Gierek na VIII Plenum KC PZPR).

KRZYSZTOF POGORZELEC

NIE TYLKO HISTORIA

Z POLA WALKI

„Z Pola Walki" — taki tytuł nosi niewielka książeczka, wydana w Genewie w 1886 r., będąca najobszerniejszym drukiem zwartym, opublikowanym przez pierwszą polską partię robotniczą — Proletariat. Stanowi ona — jak podkreśla to Feliks T y c h — nie tylko „jeden z najpiękniejszych i najbardziej przejmujących dokumentów, jakie pozostawił po sobie polski ruch robotniczy pionierskiego etapu swego rozwoju". Jest ona dziełkiem, które odegrało istotną rolę w popularyzacji idei socjalistycznych, nie tylko zresztą wśród czytelników polskich. „W ciągu swej długoletniej tułaczki po świecie spotykałem setki ludzi — Polaków i Rosjan — dla których książeczka ta była pierwszą z książek, skierowujących ich myśli na tory walki o wyzwolenie klasy robotniczej", pisał wybitny działacz polskiego ruchu socjalistycznego Feliks Kon. „Nie pamiętam, żeby inna jaka książka wywarła na mnie tak wstrząsające wrażenie, jak mała względnie broszurka w czarnej okładce, nosząca tytuł „Z Pola Walki", wspominał socjalista Jan Stróżecki.

Wszystkie te historyczne dane przytaczam za posłowiem, którym Feliks T y c h opatrzył ogłoszoną niedawno (1976) nakładem wrocławskiego Ossolineum reprodukcję pierwodruku tej niezmiernie rzadkiej dziś broszury. Zawiera ona sprawozdanie ze słynnego procesu dwudziestu dziewięciu działaczy Proletariatu, spisane na gorąco, niebawem po wydaniu wyroków, w drodze na syberyjskie zesłanie, przez jednego z sądzonych, czołowego działacza partii Tadeusza Rechniewskiego, przy współpracy innych skazańców: Feliksa Kona oraz rosyjskiego oficera Mikołaja Lourie. Badając losy Proletariatczyków dzisiejszy historyk określa, że tekst — napisany od razu w dwóch redakcjach: polskiej i rosyjskiej — mógł zostać opracowany tylko w kwietniu i pierwszej połowie maja 1886 r. Nie mógł powstać on wcześniej, gdy T. Rechniewskiego więziono jeszcze na Pawiaku, ani później skoro 19 maja skazaniec rozpoczął już swą długą drogę na katorgę. Nie wiemy jakim sposobem rękopis przemycono poza więzienie i dostarczono do Szwajcarii. Zajęli się nim tam współtowarzysze i przyjaciele skazańców i jeszcze tego samego roku ogłosili drukiem. Z kart tej książeczki polscy i zagraniczni czytelnicy dowiadywali się o walce pierwszych polskich socjalistów i o ich procesie. Wiele spośród zamieszczonych w niej tekstów zyskało ogromny rozgłos, wchodząc na trwałe do polskiej socjalistycznej tradycji. Z pewnością bardzo poczesne miejsce zajmuje w niej po dziś dzień słynne, ogłoszone po raz pierwszy właśnie w tej broszurze, przemówienie Ludwika Waryńskiego podczas rozprawy sądowej. „Przy lekturze „Z Pola Walki" — pisze Feliks T y c h — jesteśmy u źródeł tego strumienia, który za kilka dziesięcioleci zmieni się w burzliwą rzekę ruchu rewolucyjnego polskich robotników. Zamknięciem ówczesnego etapu rozwoju polskiego socjalizmu stał się właśnie „proces dwudziestu dziewięciu", z którego sprawozdanie złożyło się na zasadniczą treść tomiku, nazwanego „Z Pola Walki".

O miejscu, jakie ta publikacja zajęła w tradycji polskiego ruchu rewolucyjnego, świadczy historia, a po trosze i legenda jej nazwy. Ileż to bowiem razy będą do niej nawiązywali polscy rewolucjoniści? W osiemnaście lat po wydaniu genewskiej broszury jej tytułem posłużą się — najzupełniej celowo i świadomie — wydawcy opublikowanego w 1904 r. w Londynie zbioru materiałów, dotyczących początkowych dziejów polskiego ruchu robotniczego. Świadectwem kontynuacji tradycji Wielkiego Proletariatu jest, że SDKPiL przyjmie tytuł „Z Pola Walki" dla swego pierwszego prasowego organu w dobie rewolucji 1905 r. Nieprzypadkowo nazwę tę nadadzą później swemu periodykowi, wydawanemu od 1926 r. w Moskwie, przebywający na emigracji w ZSRR polscy komuniści. Potem — już w Polsce Ludowej — nazwa ta posłuży za tytuł dla czołowego periodyku historycznego, poświęconego dziejom polskiego ruchu rewolucyjnego...

Z pewnością, dzięki badaniom wielu uczonych, nauka historyczna dysponuje dziś znacznie bogatszą wiedzą o dziejach Wielkiego Proletariatu niż kiedyś. Spisane na gorąco wspomnienia i wrażenia, zamknięte w tomiku „Z Pola Walki", zostały wszechstronnie zweryfikowane w oparciu o bogaty materiał źródłowy, w tym również niedostępne dawniej akta procesu Proletariatczyków. Genewska broszura, która dla pokoleń polskich socjalistów była o tych sprawach niemalże źródłem jedynym, dzisiaj jest jednym z wielu, i to w niejednej sprawie niepełnym, fragmentarycznym. Dziś trudno by nauczyć się dziejów Wielkiego Proletariatu tylko z tekstu tej starej publikacji, tak jak uczyły się poprzednie pokolenia polskich socjalistów. Ale — znów przytoczmy słowa Feliksa T y c h a, zaczerpnięte z jego posłowia do reedycji tego pięknego, starego tekstu — „żaden jednak z później ogłoszonych przez badaczy dokumentów nie jest w stanie zastąpić wstrząsającego sprawozdania, pisanego ręką samych skazańców. Ani pod względem emocjonalnym, ani nawet pod względem poznawczym". I dlatego dobrze, że możemy dziś na nowo sięgnąć do genewskiego niegdyś, dzisiaj już wrocławskiego tomiku „Z Pola Walki".

ANDRZEJ F. GRABSKI

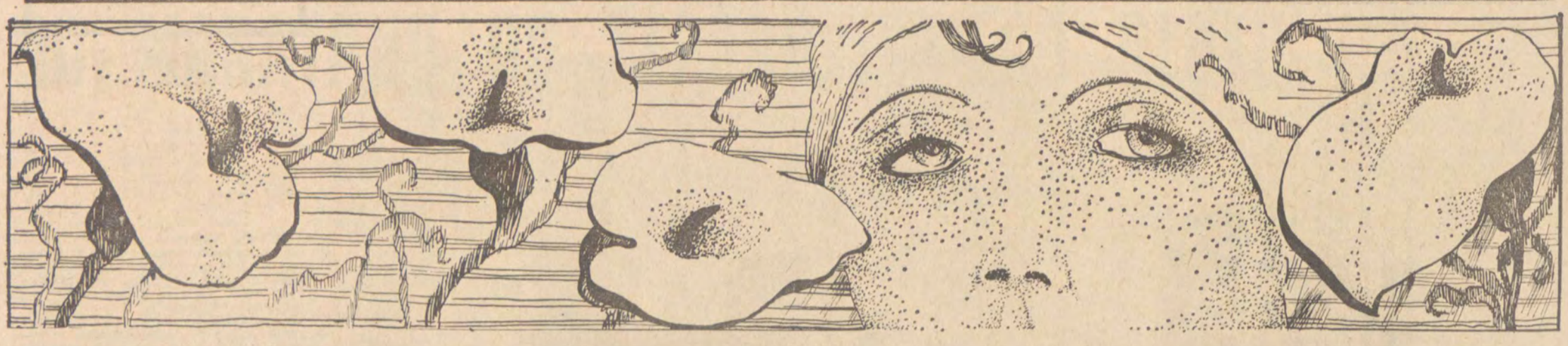

Mirosław Kuźniak

W OSTATNIEJ BITWIE

W ostatniej bitwie poległo
tysiąc nieśmiertelnych
Ich ciała stratowane końmi
rozwłóczyły po polach psy
Ich ręce porąbane toporami
leżały zgodnie obok
porąbanych rąk nieprzyjaciół

W ostatniej bitwie poległo
dwa tysiące nieśmiertelnych

Widzieli to śmiertelni
ukryci za krzakami
w bojaźni wielkiej

☆ ★ ☆

Cień ojca jak kładka przez strumień
spina brzegi porośnięte rzęsą
Przebiegam pewnie ponad szumem
trzcin i cienkim świerszczy lamentem

Tonie w wodzie tupot bosych stóp
a cień chybocze ponad wirem
Płoszy go księżyc zwinny pstrąg
zanim wypłynie na głębinę

Cień ojca jak kładka przez strumień
Na brzeg wysoki wbiegam po niej
— aż dotąd biegnę czując chłód
w stopy boleśnie poranione

☆ ★ ☆

Wrasta w nas coraz głębiej
drzewo z wiotkimi gałązkami nerwów
Czujemy jak jego szorstka kora
obrasta naszą skórę
Jak wypełnia się przestrzeń ciała
białym miękiszem drzewa
Jak drewnieją ręce
Jak więdnie liść języka
Jak twardnieją sęki oczu

Coraz w nas głębiej
drzewo z wiotkimi gałązkami nerwów

Ani go ściąć
bo spłynie ciepłą żywicą krwi
Ani go wyrwać
bo do pnia przywarła
jemioła serca

Dorota Chróścielewska

☆ ★ ☆

Oto dzisiaj znów się błąkam
W jakich się zanurzam łąkach
W jakich tracę się rozłąkach

Wciąż w pół gestu. W półuśmiechu
I w półcieniu I w pół słowa
Nie dorosłam byś mnie Boże
na stu światach ukrzyżował

A ta kładka taka wąska
Przejdzie ją dziewczynka w wstążkach
A ta kładka taka cienka
Ledwo przejdzie ją sukienka

Żeby nie iść tak po ziemi
Żeby nie iść przez powietrze
trzeba by mieć lżejsze serce
Trzeba by mieć lepsze serce

Przerzuciłam Ci pod stopy
moich włosów czarną tratwę
Przez te światy pełne lęku
nie każ mi tak iść po ciemku

Wciąż w pół gestu W pół uśmiechu
I w półcieniu I w pół zdania
Czy Ty widzisz jak ja w sobie
jak wciąż w sobie się roztrwaniam

W czas okrutny W złej godzinie
nigdy Ciebie nie ma przy mnie
Ni w rozłąkach Ani w łąkach
Pewnieś w sobie się zabłąkał.

☆ ★ ☆

Wchodzisz: jest
Okutana w chustkę niebieską
u swych kolan śliczne tuli dziecko

To nieprawda
Tu nie ma mnie wcale
Spójrz objąłeś tylko korale
Ach kochanie chwyciłeś w rękę
popatrz tylko jedwabną sukienkę

To nieprawda
Tu wcale mnie nie ma
Rozdzieliły nas niebo i ziemia
Kiedy będziesz chciał do mnie podejść
musisz przejść przez ogień i wodę

W lodowatej wieży milczenia
będę uczyć cię mego cierpienia

Wtedy wrócę
Okutana w chustkę niebieską
u swych kolan śliczne tulić dziecko.

☆ ★ ☆

Jeżeli istnieje nieskończoność
to w niej trwają
nasze nieskończone pocałunki

Jeżeli istnieje Bóg
po tylekroć wodzony na pokuszenie
to się teraz nieźle musi śmiać

Ach daj mi go — prosiłam
— no co Ci w końcu zależy

Bo prosiłam
Błagałam Tak
Żebrałam
Tak

Ach kochanie już nie wiem
nie wiem czy istnieje miłość
Ale jeśli istnieje śmierć
to właśnie się o nią otarłam

Ziemowit Skibiński

OSWAJANIE

Niemowlę krzyczy
dniem i nocą.

Tworzymy zbiorowość.

Dziecko protestuje
już tylko nocą.

Tworzymy zbiorowość.

Ojciec w sen
o dzieciństwie
się chowa.

Tworzymy zbiorowość.

Młodzieniec nie zdał.
W Łowiczu, wczoraj
rzucił się pod pociąg.

Tworzymy zbiorowość.
— n o w ą.

☆ ★ ☆

Kim jest ten człowiek,
który wciąż sobie
siebie przemyśla?

On nie jest tłumem — odpowiesz.
Więc on jest, że nie jest.

A kim on w sobie?

Przeklina ciało
i słucha ciała,
i żyje — płodzi,
a widzi bezsens
śmierci, narodzin...

Jakże łatwo oskarżać społeczeństwo
i przeciwstawiać mu swoją samotność:
stworzyć je na człowieka podobieństwo!
Zaprawdę to miliardy samotności,
a każda z nich na siebie się nie godzi.

PATRZĄC NA TAŃCZĄCĄ

Kiedy swe linie w taniec wprowadzasz,
zawirujesz, do tyłu się przechylisz
i ciężkie piersi wzniesiesz niebu,
kiedy biodrami rozwijasz spiralę
(tak wszechświat się rozwija)
i trwasz w uniesieniu,
i unosisz trwanie,

czy wtedy jeszcze jesteś,
czy już tylko taniec?
O, czym taniec:
ciałem — i — nie — ciałem? — — —

Jesteś i zatracasz,
spalasz się i zespalasz
z Bogiem? z Naturą? z Nicością?

Patrzący — jestem
nie tobą niestety,
jestem z twoją — i — nie — twoją
doskonałością.

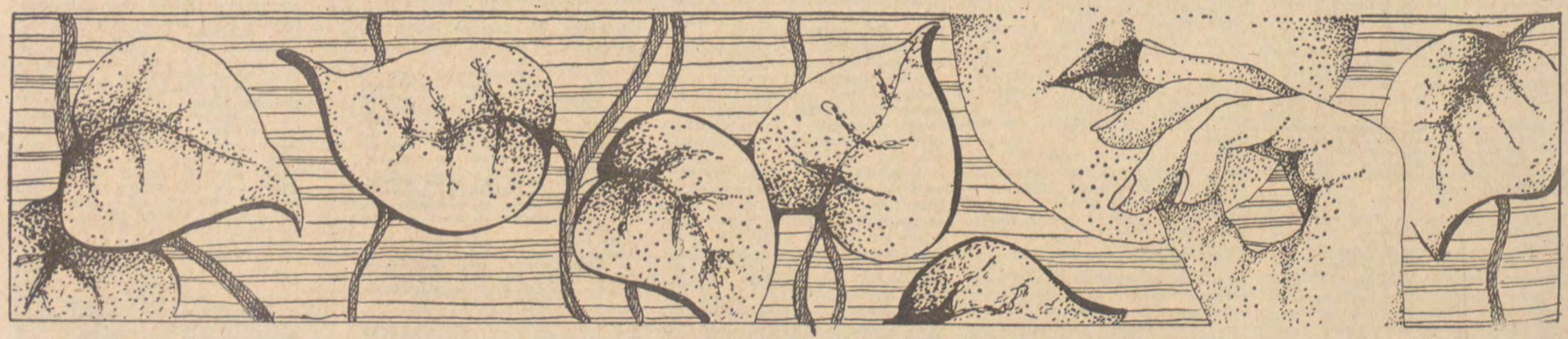

SAMORZĄD

Fot. Archiwum

GDZIE SZUKAĆ CHĘTNYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

mitetów, sporo — kilkaset. Te ostatnie tworzą średnią krajową, która niewiele zresztą daje powodów do zadowolenia. W tej średniej mieszczą się między innymi sąsiednie województwa: piotrkowskie (622 komitety), sieradzkie (363) i skierniewickie (356).

BOGATA HISTORIA

W charakterze społecznej świadomości mieszkańców Łodzi tkwi tendencja do wyłaniania różnych społecznych przedstawicielstw, do organizowania się w samorządowe organa. Tendencja ta sięga historycznymi korzeniami narodzin Łodzi przemysłowej. Była ona tak silna, że w Łodzi spontanicznie i samorzutnie, bez szczególnych dyrektyw i zarządzeń, społeczeństwo miasta już w pierwszych dniach po wyzwoleniu wyłoniło pierwsze komitety mieszkańców. Tendencja ta jest i współcześnie tak silna, że łódzkie samorządy przetrwały bez szczególnego uszczerbku trudny okres, w którym zalecono, jeśli nie ich likwidację, to przynajmniej zawieszenie działalności. W wielu województwach przystąpiono wówczas do masowego rozwiązywania komitetów, co odbywało się sprawnie i szybko. W województwach tych do tej pory nie udaje się odbudować tego, co w tamtych latach pochopnie zaprzepaszczono. W Łodzi natomiast nikt niczego odbudowywać nie musiał: komitety domowe i inne, uznając swoje istnienie za pożyteczne, a nawet niezbędne, długo i skutecznie zwlekały z zawieszeniem swej działalności.

Samorządy mieszkańców w Łodzi mają nie tylko swoją historię, ale i swych historyków. Jednym z czołowych — a mowa tu o amatorach — jest bez wątpienia Tadeusz Grzelak, piastujący obecnie stanowisko dyrektora Biura Urzędu Dzielnicowego na Polesiu, który jest przysłowiową chodzącą encyklopedią wiedzy o łódzkich komitetach domowych i osiedlowych.

OPINIE

Komitety domowe i obwodowe stanowią w województwie łódzkim poważną siłę. Czy w parze z tym idzie jakość? Odpowiedź na to pytanie jest trudna i złożona. Zależy bowiem od doboru kryteriów oceny, które mogą być i są bardzo różne, jak różne są oczekiwania adresowane do samorządowych organów. Aby jednak na pytanie to odpowiedzieć, przeprowadziłem sondę wśród znajomych, pytając ich o pozytywne przykłady działania komitetu domowego, wybranego przez ich blok czy kamienicę.

— W moim bloku przedstawiciele komitetu zbierali ostatnio kwiaty na wieniec, który delegacja zaniosła w naszym imieniu na pogrzeb sąsiada — powiedział jeden z zapytanych.

— U nas były wieczne awantury o pralnię, do czasu, kiedy sprawą zajął się komitet, wprowadzając listę i kontrolując przestrzeganie przepisów — rzekł następny.

— Komitet zaprowadził na naszym podwórku porządek z samochodami, parkującymi i hałasującymi pod oknami. Na parking zostało wytyczone odpowiednie miejsce obok komórek i na razie jest spokój — stwierdził inny.

W innym miejscu komitet doprowadził do zmiany godzin otwarcia sklepu spożywczego, które — zdaniem mieszkańców okolicznych bloków — niewłaściwie ustalono. Gdzie indziej znów postarał się o przesunięcie o kilkadziesiąt metrów przystanku autobusowego. Wszystkie te przykłady pochodzą od osób, zamieszkujących bądź tzw. stare budownictwo, bądź też bloki mieszkalne, wybudowane przed kilkoma czy nawet kilkunastoma laty. Mieszkańcy nowych osiedli mieszkaniowych nie dość, że z reguły nie potrafili przytoczyć żadnego przykładu, to na domiar nie wiedzieli czy w ich bloku działa jakikolwiek komitet.

— W niedługim czasie po sprowadzeniu się do bloku — oto charakterystyczna wypowiedź — chodził ktoś po mieszkaniach, zawiadamiając o zebraniu, na którym ma zostać wybrany komitet domowy. Nie mieliśmy jednak czasu, żeby pójść na zebranie, stąd też nie wiem, czy jest jakiś komitet czy nie. Prawdę mówiąc, to nawet nie za bardzo mamy czas, żeby się tym zainteresować: człowiek jest wciąż zagoniony...

Już powyższe przykłady dają wyobrażenie tak o typowych działaniach, podejmowanych przez komitety, jak i o oczekiwaniach, jakie stawiamy przed nimi my — przeciętni mieszkańcy. Spodziewamy się przede wszystkim tego, że nasi reprezentanci w y r ę c z ą nas w załatwianiu spraw drobnych, acz uciążliwych, z o r g a n i z u j ą jakąś wspólną akcję czy działanie, służące wszystkim, a wymagające pewnej koordynacji, z a ż e g n a j ą spór czy rozładują konflikt, z a i n t e r e s u j ą jakimś zagadnieniem odpowiedni urząd czy jego agendę. W sumie więc oczekujemy od komitetu, że będzie on pełnił działalność — powiedzmy — usługową na rzecz nas wszystkich, mieszkańców określonego bloku czy ulicy, podtrzymując zarazem coraz bardziej zanikającą i słabnącą więź sąsiedzką.

GDZIE SĄ CHĘTNI?

„Stworzyliśmy odpowiednie ramy organizacyjne oraz określiliśmy główne formy aktywności samorządu mieszkańców. We współdziałaniu z radami narodowymi i terenowymi ogniwami Frontu Jedności Narodu powinien on przyczyniać się do właściwego zaspokajania bytowych i kulturalnych potrzeb ludności, kształtować zasady współżycia, dbać o ład, porządek i estetykę, rozwijać aktywność i incjatywę" — mówił I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, na III Plenum KC PZPR w lutym zeszłego roku.

Czy łódzki samorząd mieszkańców i jego poszczególne organa spełniają właściwie zadania ujęte w tym lapidarnym sformułowaniu? Na pewno tak, chociaż również niewątpliwe jest to, że nie wszystkie i nie w jednakowym stopniu. Łódzki samorząd mieszkańców — poprzez swoje organa i swoich działaczy — jest niewątpliwie współgospodarzem województwa, którego zbiorowy głos liczy się i wywiera wpływ na decyzje dotyczące nas wszystkich, mieszkańców województwa. Że nie wszystko i nie wszędzie udaje się, wychodzi jak należy? Że nie wszędzie docierają komitety? Że nie zawsze ich działalność jest widoczna? Cóż, tworza je przecież ludzie.

Kto dzisiaj chce pracować społecznie? — takim pytaniem jeden z działaczy skwitował fragment rozmowy, traktujący o niedostatkach i niedociągnięciach w pracy niektórych organów samorządu mieszkańców.

W skład samorządu wchodzi 29.374 mieszkańców województwa łódzkiego. Co trzeci członek komitetu — to emeryt bądź rencista. Młodzi ludzie — do lat 30 — stanowią w ogólnej liczbie odsetek znikomy. Stara, wypróbowana i doświadczona kadra powoli się wykrusza, a o młody narybek coraz trudniej. Coraz mniej chętnych do... rządzenia?

Atmosfera, jaką stworzyły wokół samorządów mieszkańców decyzje władz centralnych, ranga i znaczenie, jakie im nadały kolejne uchwały i zarządzenia — nakładają na samorządowe organa obowiązki i zadania liczne i ważne, jak nigdy przedtem. I rzecz nie sprowadza się bynajmniej do wyręczania przez samorządy określonych urzędów i ich agend, lecz do rzeczywistego w s p ó ł g o s p o d a r z e n i a. Wystarczy przypomnieć, że osiem resortów zobowiązanych jest odpowiednimi zarządzeniami do współdziałania na co dzień z organami samorządu mieszkańców. Wystarczy powiedzieć, że w niektórych miastach — m. in. w województwie konińskim, rzeszowskim i słupskim — rady narodowe przekazały komitetom samorządowym prawo rozpatrywania niektórych spraw, związanych z rozmieszczeniem sieci handlowej i usługowej oraz ich funkcjonowania, z organizacją komunikacji miejskiej, z realizacją wniosków i postulatów wyborców. W wielu też województwach — m. in. gdańskim i leszczyńskim — przyjęto zasadę, że w skład każdego komitetu drugiego stopnia, a więc osiedlowego lub obwodowego, wchodzić m u s i pracownik odpowiedniego urzędu miejskiego, gminnego lub dzielnicowego. Również i władze województwa łódzkiego zrobiły i robią wiele dla umocnienia samorządu, dla stworzenia szerokich możliwości skutecznego działania, dla podtrzymania wszelkich pozytywnych inicjatyw.

Program działania łódzkich komitetów obwodowych i domowych jest szeroki. Obejmuje on poczynania z zakresu czystości, ładu i porządku, pracy wychowawczej z dziećmi i młodzieżą, należytej eksploatacji zasobów mieszkaniowych, pomocy ludziom w wieku podeszłym, samotnym i chorym, sięga po sprawy współżycia społecznego, kształtowania postaw obywatelskich, umacniania więzi sąsiedzkich.

Chociażby organizowany już po raz trzeci na Polesiu „turniej osiedli", osiedlowe spartakiady komitetów na Bałutach czy „dni osiedla" odbywające się co roku z inicjatywy Komitetu Obwodowego nr 3 w Konstantynowie.

W poprzedniej kadencji na wniosek Łódzkiego Komitetu FJN działacze organów samorządowych otrzymali 194 odznaczenia państwowe, 106 Honorowych Odznak Miasta Łodzi i 759 odznak „Zasłużony Działacz Frontu Jedności Narodu". Wyróżnienia te są jednym z wymownych dowodów tego, że działalność organów samorządowych jest dostrzegana i doceniana, że jest potrzebna i celowa.

— Odznaczenie za działalność społeczną — powiedział mi jeden z działaczy komitetu osiedlowego — to duża sprawa. Rzeczywiście daje satysfakcję, ale nie mniejszą satysfakcję przynosi uznanie i szacunek ze strony sąsiadów, którzy doceniają pracę i obowiązki, jakie pełnię w ich imieniu. Przyjemnie słyszeć, jak mówią: „Panie Zieliński, cieszymy się, że wybraliśmy pana do komitetu!"

JACEK INDELAK

TEATR

MASKARADA

Przedstawienie teatralne, w przeciwieństwie do wielu innych wytworów tzw. sztuk pięknych, jest dziełem wciąż żywym, podlega prawom dynamiki rozwojowej, jak każda ludzka osobowość. Premiera w życiu przedstawienia jest czymś w rodzaju egzaminu dojrzałości w życiu ludzkim. Egzamin ten jest poprzedzony całym cyklem przygotowań, który w teatrze można umownie określić próbami, gdzie reżyser spełnia funkcję mądrego, czasem utalentowanego pedagoga. Od całego tego „przedegzaminacyjnego" okresu w dużym stopniu zależy zawartość „cenzurki", jaką na koniec wystawi widownia i krytyka. Pragnę jednak podkreślić, że tworzywem spektaklu jest żywa, pulsująca i uwarunkowana wieloma zjawiskami zewnętrznymi psychika „zbiorowa", na którą składa się szereg osobowości indywidualnych, a premiera w życiu przedstawienia, tak jak świadectwo dojrzałości w życiu ludzkim nie określa ostatecznej wersji „dzieła". Jest to rozumowanie, które niewątpliwie było przyczyną sprawczą głośnego ostatnio w naszym środowisku teatralnym przedsięwzięcia zrealizowanego przez Andrzeja Wajdę, a mianowicie 27 publicznych prób „Idioty" F. Dostojewskiego w Starym Teatrze im. H. Modrzejewskiej w Krakowie.

Traktując powyższe rozważania poważnie, instytucja tzw. premier prasowych wydaje mi się anachronizmem. Dlatego też nie usiadłem do maszyny tego samego wieczoru, kiedy obejrzałem premierowe przedstawienie „Maskarady" w **Teatrze Ziemi Łódzkiej,** lecz odczekałem do trzydziestego przedstawienia (która to cyfra, jak się orientuję, określa w przybliżeniu połowę „życia" spektaklu), aby go „przylapać" z zaskoczenia w trakcie objazdu, na maleńkiej scenie Domu Kultury w Głownie. To już daje mi możliwość sformułowania pewnych ogólnych spostrzeżeń i wniosków o charakterze porównawczym. Na przedstawieniu w Głownie potwierdziła się cała realistyczno-kameralna koncepcja reżyserska, której brak jednak pełnej konsekwencji. Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju — może nie zawsze wyraźnie dostrzegalnym — „rozdarciem" między teatrem inscenizacyjnego „rozhuśtania", a kameralnymi dialogami w konwencji teatru realistycznego. W balansowaniu na tej krawędzi, bardzo ważną rolę swojego rodzaju wyznacznika powinna spełniać postać Nieznajomego, dla której to interpretacji autor pozostawił najwięcej swobody. I tutaj musiałem sobie zadać pytanie: jakie jest miejsce Nieznajomego w oglądanym przeze mnie (dwukrotnie) spektaklu? Czy ma być on oderwanym od realnych działań „wyrzutem sumienia", tajemniczym fatum zawisłym nad losem bohatera dramatu — Arbienina, czy też zwyczajnym, pokrzywdzonym człowiekiem, któremu przypadkiem nadarza się sposobna okazja do zemsty? A może jedno nierozerwalnie wiąże się z drugim, stanowiąc coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego? Po dwukrotnym obejrzeniu spektaklu, sprawa ta pozostała dla mnie nadal „zamazana". Stąd też niewątpliwie wynika pewne niezdecydowanie u **Włodzimierza Tympalskiego** w operowaniu środkami autorskimi, co sprawia wrażenie, że postać Nieznajomego powstaje jakby po omacku, bez wyraźnej, konsekwentnie realizowanej idei.

Niestety, **Teatr Ziemi Łódzkiej** nie jest sceną najlepiej czującą się w rozmachu inscenizacyjnym (po prostu nie ma na to warunków) i to co stanowi wielką siłę omawianego tu przedstawienia, a mianowicie dobrze prowadzony dialog i sceny kameralne, psuje cały, nie z tej konwencji, jakby dolepiony sztucznie drugi plan. Wspaniale prowadzone, z wielkim wyczuciem charakterystyczności rozmowy Szpricha (**Henryk Dudziński**) z Kazarinem (**Stanisław M. Kamiński**), czy lekką, pozbawiona deklamacyjności konwersacja Baronowej Sztral (**Barbara Dzido-Lelińska**) tracą swoją siłę w zderzeniu z błąkającymi się „w tle", bez celu, postaciami tzw. drugiego planu.

Osobny problem stanowi posługiwanie się, w tak realistycznie skonstruowanym spektaklu, wspaniałym lermontowskim wierszem. Tutaj znalazł się niebezpiecznie między Scyllą realizmu, a romantyczną Charybdą **Andrzej Jędrzejewski** w roli Arbienina, tworzący postać często wkraczającą w rejony teatru rapsodycznego.

Grająca rolę Niny **Ewa Jagiełło** została obarczona zbyt wielkim ciężarem jak na debiutantkę (mam tu na myśli pierwszą, znaczącą rolę). Nie mogło to wyjść na korzyść całemu przedstawieniu, a zwłaszcza kreowanej postaci. Po prostu A. Jędrzejewski nie ma, w całym tego słowa znaczeniu, partnerki i musi cały ciężar scen „sam na sam" z żoną, dźwigać na własnych barkach. Może dlatego nie starcza mu już sił na pełne i wiarygodne rozegranie finałowej sceny szaleństwa, która jest niezaprzeczalnie materiałem na popis aktorski.

Ciekawe spostrzeżenia daje porównanie pierwszego i trzydziestego przedstawienia **„Maskarady"**. Wydaje mi się, że zyskuje ono na scenach kameralnych, stając się bardziej zwartym. Tutaj zrezygnowałbym, ze względu na ciasnotę, z wielu scen drugiego planu, które nie zawsze są konieczne dla klarowności akcji, a atmosferę buduje wspaniale zastosowana muzyka Arama Chaczaturiana. Trzeba przyznać, że w porównaniu z premierą, przedstawienie bardzo dojrzało, zwłaszcza w interpretacjach aktorskich. Doskonałym tego przykładem może być postać Księcia Zwiezdicza, w której **Bogdan Juszczyk** pokazał wspaniale wyważone umiejętności posługiwania się lermontowskim tekstem, tworząc sylwetkę „z krwi i kości", nie pozbawioną jednak pewnego, romantycznego rysu.

Należy się jeszcze chwila uwagi scenografii, bardzo funkcjonalnej i ciekawie pomyślanej przez **Wojciecha Zielezińskiego.** Nie można jednak dopuszczać do tak „brudnych" sytuacji scenograficznych, jak to widziałem w Głownie, gdzie nieskazitelnej bieli kolumny, pełniące podobną funkcję, jak perlakty w teatrze antycznym (przy szybkich zmianach miejsca akcji w różny sposób są ustawiane) oraz wspaniałe w swym przepychu meble, zderzone zostają z zupełnie przypadkowym okotarowaniem sceny z lśniącego, różowego pluszu. Takie wypaczanie wizji plastycznej i kształtowanie wrażliwości estetycznej publiczności jest niedopuszczalne, a granie w każdych warunkach też do czegoś w tym względzie zobowiązuje.

Mówiąc o tego rodzaju „usterkach" godzi się jeszcze zwrócić uwagę na aparaturę nagłaśniającą, jaką dysponuje, jak by nie było, zawodowa scena. Słusznie, że zdecydowano się zastąpić plejbekiem popisowy śpiew Niny w trzeciej części przedstawienia. Rezultat tego poszedł jednak w stronę odwrotną od zamierzonej i uzyskano efekt nadspodziewany. Z głośnika rozlega się jakiś nieokreślony charkot, nie mówiąc już o tekście piosenki, który zupełnie nie dociera. Wydaje mi się, że nie można zaprzepaszczać niewątpliwych wartości przedstawienia, jedną, żenująco nagraną i zgrzytliwie odtwarzaną piosneczką. Już lepiej w ogóle z niej zrezygnować dla dobra całości, pozostając w oczekiwaniu na sprawną i nowoczesną aparaturę, która — nawiasem mówiąc — nigdy nie zastąpi w teatrze naprawdę żywej muzyki.

ANDRZEJ CZERNY

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. „Maskarada" M. Lermontowa. Przekład: Jerzy Zagórski. Reżyseria: Jan Perz. Scenografia: Wojciech Zieleziński.

Foto: J. Neugebauer

KSIĄŻKA

BEZ HAPPY-ENDU

TOMASZ SOLDENHOFF

Faktem jest, że XIX-wieczna literatura, nawiązując do doświadczeń jeszcze ubiegłego stulecia (choćby Baudelaire'a w poezji czy naturalistów w prozie) odzwyczaja stopniowo czytelnika od traktowania jej jako miejsca łagodnej kontemplacji, jako źródła gry, zabawy i łączącego się z nią poczucia zadowolenia, radości czy rozkoszy — owych reguł klasycznego już dziś niewątpliwie odbioru i sposobu wartościowania piękna.

Poszerzając krąg tematów i uczuć stawia sobie też literatura inne zadania: dziś chce szczególnie wzruszać obrazami nędzy, cierpienia i bólu, wstrząsać, ukazywać nowe strony psychiki, ludzką brzydotę i złożoność pełnej napięć sytuacji człowieka.

Nowa powieść **Ryszarda Binkowskiego** jest pod tym względem znamiennym „dzieckiem wieku", wiernym „znakiem czasu", gdyż te nowe tendencje i upodobania literatury znalazły w niej artystyczne odbicie. Nie tylko ze względu na obecny w książce wątek sensacyjno-kryminalny, na język nie stroniący od wulgaryzmów, na obrazy często drastyczne i wstrząsające. Wszystkie te cechy stanowią raczej tylko barwną oprawę, tło, w które wtopił R. Binkowski przenikliwą analizę psychologiczną bohatera tragicznego: samotnego alkoholika.

— Co leży u źródeł życiowej klęski Marcina Likszy? Dlaczego taki właśnie, tragiczny i posępny, spotkał go los?

Odpowiedzi na te pytania szukamy — i na tym m. in. polega oryginalność książki — równocześnie z bohaterem, rekonstruując z myśli i wspomnień obraz jego życia.

Pisarz nie bez przyczyny jako czas trwania współczesnej akcji wybrał 12 godzin na przełomie Starego i Nowego Roku. W noc sylwestrową samotnie czekający Liksza znalazł się jakby w punkcie „zawieszenia", w którym naturalne jest przywoływanie zdarzeń minionych, cofanie się pamięcią wstecz, rozliczanie się z samym sobą.

„Gasną myśli, rwą się słowa..." — wspomnienia wywoływane nie tyle siłą pamięci, ile siłą bezwładu przez mózg wycieńczony alkoholem, na granicy utraty przytomności, muszą być więc pogmatwane, zawiłe, niekompletne.

Autor uciekł się tu do inwersji czasowej: konsekwentnie stosowana zasada retrospekcji sprzyja przenikaniu czasów i planów, mieszaniu fragmentów rzeczywistości ze strzępami autorefleksji bohatera, swoistej dekompozycji naruszającej chronologiczny porządek zdarzeń. Zabieg ten jest jednak w **„Białym świetle"** uzasadniony. Wszak rzeczywistość przedstawiona ma być taka, jaka jawi się w świadomości zakłóconej, pamięci chorej, wyobraźni majaczącej, które odbierać i kojarzyć świat mogą właśnie tylko w strzępach, mglistych zarysach, w chaosie nie uporządkowanych zdarzeń.

Jest powieść Ryszarda Binkowskiego analizą trudności towarzyszących próbie awansu wiejskiego chłopaka. Problem to i w literaturze polskiej, i w twórczości samego R. Binkowskiego znany. Tylko, że w porównaniu choćby z jego poprzednią powieścią — **„Pójdziesz ponad sadem"**, mamy w **„Białym świetle"** do czynienia z sytuacją odwrotną. Tam bohater pozytywny, odporny na życiowe trudności i groźbę demoralizacji, pozostaje wierny ideałom młodości — stąd optymistyczny finał. Tu bohater, który wraz z podobnymi mu nieudacznikami, wznosi noworoczny toast **„za nasz żywot dołowy"**. Zabrakło także happy-endu. Zatem odkręcamy wspólnie z bohaterem film życia, aby jak powiada R. Binkowski, znaleźć źródło.

Próby życia, zarówno w mieście jak i na wsi, zdradzają nieprzystosowanie Marcina Likszy, niezrozumienie zasad życia, słabość charakteru. Ale to nie Los czy Fatum, jakieś anonimowe siły ponad wolą człowieka, ani też świat zewnętrzny, owa rzeczywistość budek z piwem i tłumu śpieszącego rano do pracy, klik i „bagienek", knajp i barów, bezdomnych włóczęgów i życiowych rozbitków (których obraz stylu życia i dialogi konstruuje R. Binkowski wprost mistrzowsko) stawia autor w stan oskarżenia za klęskę Likszy. Bowiem — jak pisze Binkowski — **„żałosnym przecherstwem byłoby doszukiwanie się źródła na ścieżkach dzieciństwa, w młodzieńczej samotności, w niedobranym małżeństwie, pośród złych szefów i kumplów z rynsztoka (...) Gdyby wówczas zdobył się na odwagę, wiedziałby, że źródło było bliskie. Tkwiło w nim samym".**

Marcin Liksza chciał przede wszystkim „przedrzeć się", „skoczyć możliwie szybko, błyskotliwie". Ale zrobił to zbyt nieostrożnie i niecierpliwie: wobec innych, ale i wobec samego siebie. Wszak powiada: **„przegrałem, bo porwałem się sam na siebie"**. Omijając błoto chciał Liksza dotrzeć do „lepszego życia" i „uszczknąć zeń coś dla siebie". Bojąc się, że nie zostanie zauważony, szukał mechanizmów przystosowawczych. Taki, o magicznych nieomal własnościach, znalazł w wódce. Pita aż do nieprzytomności, w każdej postaci, a nawet i w surogatach, dawała możność transcendencji, swoistej „filozofii nadziei" na życie kolorowe, pełne energii i światła, filozofii streszczającej się w słowach: **„Łykniesz raz i jesteś wolnym człowiekiem".**

Ryszard Binkowski z całą jaskrawością, unikając współczucia, ale i łatwego dydaktyzmu, obnaża niedojrzałość i uproszczenia podobnych postaw życiowych, choć w portrecie Marcina Likszy wskazuje i na te pozytywne cechy, które rozwinięte dałyby zapewne ocalenie (jak choćby elementarne jakieś poczucie sprawiedliwości i krzywdy społecznej). R. Binkowski nie szczędzi naturalistycznych szczegółów z życia tych, co „mierzyli wyżej", ale „poszarpało ich", w obrazach nędzy i zezwierzęcenia — tam, gdzie „wszystko zaczyna się i kończy przy wódce".

Świat przedstawiony w powieści Ryszarda Binkowskiego jest przesycony realiami jawnie polskimi. Ale dziejąc się w określonej rzeczywistości zarazem jest po trosze „światem wszędzie i nigdzie". Pewnej słabości tej powieści upatrywałbym w braku choćby śladu działania konkretnej przecież także, ale wyższej, ponadjednostkowej idei, innej niż ta tylko, która uzasadnia potrzebę „odbicia sobie za wszystkie czasy", ambicję łatwego i szybkiego dorabiania się. Postaci w tej powieści należą do gatunku tych, które — jak powiada R. Binkowski charakteryzując jedną z nich — **„zamiast walczyć albo budować Polskę żłopią bimber i denaturat"**. Binkowski powiada wprost: wódka jest ich jedyną piękniejszą ideą, ona „tworzy wspólnotę". Pisarz wprawdzie unika odautorskiej oceny, ale już w sposobie pokazania świata tkwi element krytyki, choć zakamuflowany — w s a m y m oskarżycielskim, wstrząsającym obrazie. Niemniej odczuwa się w nim pewne uproszczenia — rezultat braku kontrastu, przeciwstawienia w postaciach będących nosicielami jakiejkolwiek wyższej, nieprywatnej idei.

W tym świecie Marcin Likszta pozostaje gdzieś w p o ł o w i e drogi: między wsią a miastem, niespełnionym marzeniem o „przebiciu się" a gorzką refleksją nad własną słabością, na peryferiach jakiegokolwiek życia. Poczucie winy, wstret do samego siebie, samowiedza, która osiąga w obliczu śmierci w niczym już nie może mu pomóc.

Ryszard Binkowski: Białe światło. Wydawnictwo Łódzkie 1977.

FILM

W KRAKOWIE BEZ WYDARZEŃ

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Odbywające się najczęściej raz w roku festiwale i przeglądy filmów krótkometrażowych zgrupowanych według ich tematyki lub przeznaczenia powodują, że Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie staje się w rezultacie przeglądem rocznej produkcji filmów, które najogólniej można by określić mianem dokumentalnych (od wielu lat filmy animowane stanowią już tylko uzupełnienie programu tej imprezy). Mają swoje przeglądy filmy o sztuce, filmy o tematyce rolniczej i morskiej, raz na dwa lata odbywa się w Łodzi festiwal filmów dydaktycznych. Najbardziej chyba charakterystycznym faktem jest to, że festiwal krakowski stanowi przeciwieństwo łódzkiego pod względem doboru filmów przez komisję selekcyjną. Na przykład w tym roku w Krakowie pokazano chyba tylko dwa tytuły uczestniczące w konkursie filmów dydaktycznych (zabrakło przede wszystkim „Dzieci"). Czyżby miało to oznaczać, że ogólnopolski festiwal jest w swych założeniach przeciwstawny ekranowemu dydaktyzmowi?

Jeżeli pod pojęciem tym rozumieć będziemy te cechy filmu, które powodują zbytnie, tendencyjne uproszczenia, to z pewnością tak. Ale tego typu filmy stanowiły także mniejszość na imprezie łódzkiej. Rzecz polega na czym innym. Film dydaktyczny to jednak przede wszystkim poszerzenie lekcji o penetrację kamerą omawianych zjawisk. Tematyka filmu dokumentalnego nie znajduje bowiem jak dotąd miejsca w szkole. Jeżeli jednak porównywać film pod porządkowany potrzebie kształcenia z filmem oswobodzonym już z obowiązków szkolnych, to okazuje się na przykładzie filmów prezentowanych w Krakowie, że różnice tematyczne w nieznacznym stopniu wpływają na sam ciekawostkowy sposób patrzenia na poruszane w filmach problemy.

Podstawowy zarzut, jaki można by postawić filmom pokazywanym w trakcie festiwalu, to fakt ich problemowej uboczności, w gruncie rzeczy marginesowości ich tematów. Oczywiście pretensje te nie dotyczą paru filmów o wiele bardziej ambitnych od produkcji przeciętnej, liczebnie przeważającej. Ale nawet te nagrodzone nie wywoływały silniejszych kontrowersji (które należą przecież do festiwalowego rytuału), bo trudno by przeciwstawiać im tytuły filmów spełniających rolę „tradycyjnie" krzywdzonych przez jury, a dyskutowanych przez publiczność. Brakowało po prostu filmów, o których można by rozmawiać. Jest już też tradycją, że zawsze wśród średniaków trafia się jeden, czy dwa tytuły istotne.

Tym razem było inaczej. Publicystyczny dokument **Ireny Kamieńskiej „Zapora"** — triumfator festiwalu — był tak mocnym kandydatem do pierwszego miejsca, że starzy festiwalowi wyjadacze typowali go bez ryzyka, ale i bez emocji. Zgodność poglądu widowni z werdyktem jury, bez oczekiwania na niespodziankę jest wyrazem stanu, w którym naprawdę nikt nikogo nie może zaskoczyć. Dla samego filmu nie jest to jednak sytuacja komplementująca. Podobnie miała się rzecz z nagrodą krytyki filmowej. Zostały wyróżnione nią dwa filmy: jednym z nich był **„Szpital" Krzysztofa Kieślowskiego**, jak dowiadujemy się, nagrodzony na festiwalu międzynarodowym parę dni później. Film faktycznie wyróżniający się wśród innych, ale pozostawiający uczucie niedosytu, gdy przypomnimy sobie „Rozmowę" pokazywaną w Krakowie dwa lata temu, nie mówiąc już o „Personelu". W klimacie ostrej publicystyki „Rozmowę" przypominał trochę film **Tadeusza Pałki „Wygrać — przegrać"**, którego tematem jest starcie się postaw przebojowego naczelnika gminy z sekretarzem reprezentującym interesy przeciętnie zdeprawowanego środowiska zarządzających. Ale przy ocenie filmów tego typu powstaje zawsze to samo pytanie: czy film rozliczać z tego co powiedział, o czym jeszcze nie wiedzieliśmy, czy też za to, że znajdujemy w nim to, o czym wszyscy dobrze wiedzą, ale czego jeszcze nie było na ekranie. Jest to problem trudny do rozwiązania. Myślę, że lepsze to drugie, byleby tylko było o czym mówić, żeby jednak były takie filmy. Może wtedy trochę łatwiej będzie o te zaskakujące. A o takie jest bardzo trudno, zwłaszcza, gdy pytamy o sprawy zasadnicze. W tym miejscu pojawia się w Krakowie istotna konstatacja socjologiczna, którą był film **Kazimierza Karabasza „Lato w Żabnie"**. Zdjęcia fotograficzne wykonywane przez studentkę SGGW podczas jej pobytu w rodzinnej wsi, w zestawieniu z rejestrowanym jej komentarzem — dają efekt zaskakujący przede wszystkim wówczas, gdy uwzględnimy skrajną prostotę konstrukcji filmu. Wymienione tytuły należały właśnie do grupy tych najbardziej istotnych pod względem treści. Nie można powiedzieć tego o najsilniej wyróżniającym się pod względem wykorzystania możliwości kamery filmie **Bogdana Dziworskiego „Hokej"**. Przeciwstawienie brutalnej gry hokeistów dziecinnym twarzyczkom obserwujących mecz chłopców, będących uosobieniem niewinności — jest zabiegiem upraszczającym realizację słusznych w zasadzie intencji twórcy. Nie to jednak jest najważniejsze. Biorąc pod uwagę zdolność i inwencję Bogdana Dziworskiego w filmowaniu, okazuje się, że ten literacki pomysł jest daniną spłacaną tzw. wymowie dzieła.

Z resztą filmów było już o wiele gorzej, chociaż wśród tytułów łódzkiej WFO znalazło się jeszcze **„Naprzód" Marka Koterskiego** — film silnie zmetaforyzowany, jak dotąd odczytywany jednak i oceniany za sposób prezentacji teatru amatorskiego „Sylaba 68" (niesłusznie, bo nie to jest akurat najważniejsze). Dalej już równy średni poziom z niewielkimi odstępstwami w dół lub w górę (np. ze względu na tematykę — **„Dziesięć pierwszych minut inaczej" Anny Dyrki—Brzozowskiej**). Częściej jednak jest źle. Nagrodzone **„Odwiedziny" Radosława Piwowarskiego** są filmem z historią znaną już chyba z czytanek szkolnych. **„Człowiek z cyfrą" Janusz Kidawy** prezentuje zdrowy, ludowy typ dowcipu i w gruncie rzeczy smutno, okazuje się bowiem, że jest to jedyny możliwy (bo zrealizowany) sposób na nakręcenie filmu o „Hucie Katowice". **„Grunwald" Krzysztofa Wojciechowskiego**, w którym oglądamy lot króla Jagiełły nad współczesną Polską jest także wesoły w rezultacie, choć chyba przeciw intencjom twórcy. Zresztą pomnik króla jest także bohaterem innego filmu — solidnego reportażu o akcji jego ustawiania przy pomocy helikoptera. I okazuje się, że w sumie lepszy dobry reportaż od pomysłowej impresji.

Brak ważniejszych wydarzeń na festiwalowym ekranie znajdował swoje odzwierciedlenie także w nieobecności dyskusji towarzyszących projekcjom. Jest to zresztą zrozumiałe. Ale fakt braku intensywniejszych narzekań jest czymś bardziej niepokojącym. Bardziej niż przeciętny poziom filmów. Oczywiście nie oznacza to, że nikt nie oczekuje na wydarzenia w filmie krótkometrażowym. Znaczy to tylko, że brak wiary w realizację tych oczekiwań.

HISTORIA TO PRAWDZIWA

Pamiętnik Adeli H. czyli Adeli Hugo, najmłodszej córki Wiktora Hugo, odnaleziono w 1955 roku, wydano w Paryżu w 1969 roku, gdyż 10 lat pracowano nad jego, w dosłownym znaczeniu, rozszyfrowaniem. Przystępując do prac nad scenariuszem filmu opartego na dzienniku Adeli Hugo, reżyser Francois Truffaut musiał jeszcze uzyskać aprobatę prawnuka Wiktora Hugo, gdyż dotąd prawdziwa historia jego ciotecznej babki stanowiła rodzinną tajemnicę. A była to w istocie historia niezwykła.

Adela Hugo urodziła się w 1830 roku jako piąte, najmłodsze dziecko wielkiego pisarza, dramaturga i poety. Adela towarzyszyła ojcu na wygnaniu, gdy po zamachu stanu w 1851 roku, jako republikanin, przeciwnik cesarza i duchowy wódz opozycji przebywał na angielskiej wyspie Guernsey. Wykształcona, obdarzona talentem muzycznym Adela była ozdobą domu wielkiego ojca, żyła jednak ponoć w kompleksie niższości, gdyż ukochaną córką Hugo była starsza siostra Adeli, Leopoldyna, która zresztą utonęła wraz ze swym mężem w 1843 roku. W czasie pobytu ojca na wygnaniu, Adela poznała młodego porucznika brytyjskiego, Alberta Pinsona. Wielki romans przerwany został przeniesieniem Pinsona do Anglii, a później Kanady. W 1863 roku Adela uciekła z domu i pod przybranym nazwiskiem Lewly pojawiła się w Halifaxie, gdzie przebywał jej ukochany. W tym momencie zaczyna się film — „Miłość Adeli H." w reżyserii Francois Truffaut.

Filmowy portret Alberta Pinsona ukazuje nam postać dość typową dla literackich wizerunków młodych oficerów. Lowelas Pinson swój romans z Adelą traktował wielce nie zobowiązująco. Jej przybycie do Halifaxu komplikuje mu życie, gdyż nie zamierza ni żenić się z dziewczyną, ni kontynuować z nią flirtu. Dla Adeli miłość do Alberta jest jedyną wartością. Wbrew błaganiom ojca ślącego zza oceanu listy i pieniądze, pozostaje w Halifaxie trzy lata i gdy pułk Pinsona zostaje przeniesiony na Barbados, obłąkana już wówczas Adela rusza za nim. Tam przebywa jeszcze sześć lat, do chwili, gdy zidentyfikowana przez prostą Murzynkę pod jej opieką powraca do Francji, gdzie przebywa już w zakładzie dla obłąkanych i umiera dopiero w 1915 roku.

Tyle danych biograficznych, na ich kanwie Francois Truffaut opowiedział historię wielkiej, destruktywnej, pożerającej osobowość miłości, a właściwie historię osoby, którą zniszczyła namiętność, namiętność nosząca już w zarodku cechy patalogiczne i prowadząca do obłędu. Ta właśnie sprawa interesowała Truffauta najbardziej i w jego interpretacji historia Adeli Hugo, córki jednego z najsławniejszych ludzi swych czasów, jest historią kobiety, która na miarę swej epoki uczyniwszy miłość absolutem, oddała jej swe życie w sposób równie absolutny. W gruncie rzeczy przeznaczeniem Adeli, ale i jej wewnętrzną potrzebą była samotność, w której może przeżywać tę miłość. Oddana swej „idée-fixe" wszystko, co robi, wszystko, co myśli odnosi się do niej. Ta jej pasja odcina ją od reszty świata, jest on jej niepotrzebny, aż dojdzie do tego momentu, że przestanie jej być potrzebny nawet przedmiot tej namiętności. Zamknięta w sobie, odizolowana już wówczas od świata i ludzi obłędem, przejdzie Adela obok swego Pinsona nie widząc go i nie poznając. To znakomita w fimie Truffauta scena.

„Miłość Adeli H." to bardzo piękny film, urzekający dyskrecją tonu, mistrzostwem narracji i prostotą stylu, którego główną funkcją jest oddanie całej intymności przeżyć uwikłanej w swą samotność istoty. Niejako wbrew tematowi nie ma w tym filmie żadnej gwałtowności i żadnego patosu. Historia Adeli Hugo nie budzi też w nas żadnych podobnych uczuć, nie czyni nas również ten film świadkami wścibskiej wiwisekcji uczuć naturalnych i patologicznych, co tak bardzo lubią czynić autorzy wielu filmów poświęconych tzw. przypadkom chorobowym. Jesteśmy świadkami dyskretnymi, nie oczekującymi i nie żądającymi sensacji, poddanymi jedynie próbie wrażliwości uczuć oraz określonemu testowi kulturowej i psychologicznej świadomości.

Obejrzawszy „Miłość Adeli H." Francois Truffaut rozumiemy także głosy zachwytu światowej krytyki filmowej odnoszące się do wykonawczyni tytułowej roli, 22-letniej aktorki, Isabelle Adjani.

EWA NURCZYŃSKA

Foto: A. Wach

RENOWACJA WIEDZY

Dalszy ciąg ze str. 1

F. Skarbka obok wielu problemów poświęconych ekonomii znaleźć można również rozwinięcie tezy o obustronnej zależności występującej między poziomem oświaty a bogactwem kraju.

Właściwe naświetlenie problemu współzależności efektów pracy od wykształcenia przyniósł dopiero wiek XX. Z licznych badań, które zostały przeprowadzone na gruncie europejskim badania S. G. Strumilina zasługują na szczególną uwagę, gdyż wraz z wynikami ciekawych uogólnień, które dotarły do naszego kraju, zapoczątkowały one dyskusję na temat: czy oświata jest gałęzią gospodarki narodowej produkującej określone dobra i przyczyniającej się do pomnażania dobrobytu kraju, czy też nie.

Strumilin zapoczątkował swoje badania w latach dwudziestych i pogłębił je później w latach sześćdziesiątych. Zajął się głównie wpływem wzrostu kwalifikacji zawodowych na wzrost dochodu narodowego. Badania jego wykazały ścisły związek między poziomem wykształcenia pracowników a efektami ekonomicznymi ich pracy: wyższe kwalifikacje wyraźnie stymulowały efekty ekonomiczne pracy i to już po krótkim okresie edukacji.

Badania S. G. Strumilina doczekały się licznych komentarzy i kontynuatorów. Następne pytania jakie zaczęli stawiać przed sobą naukowcy dotyczyły już nie tyle problemu: czy oświata ma wpływ na efektywność pracy, lecz w jaki sposób i w jakich warunkach staje się ona stymulatorem postępu. Zagadnieniom tym poświęcono liczne konferencje i zjazdy naukowe, wśród nich i takie, którym patronowała UNESCO. Powstały i rozwinęły się ośrodki badawcze, między innymi i w Polsce. Nazwiska K. Secomskiego, A. Rajkiewicza, J. Kluczyńskiego, K. Podoskiego, czy J. Tymowskiego znalazły się w rzędzie tych naukowców, którzy wnieśli istotny wkład w przełamie dotychczasowych poglądów na rolę „nieproduktywnej" gałęzi gospodarki polskiej jaką jest oświata.

Inwestowanie w nauczyciela jest tylko małym wycinkiem problemu: kwalifikacje — dochód narodowy. Z uwagi jednak na genetyczne niemal uwarunkowanie wszelkiej pracy nad podnoszeniem kwalifikacji od poziomu wiedzy i umiejętności nauczyciela — warte jest stałego podejmowania i ilustrowania na łamach prasy prac instytucji powołanych do doskonalenia czynnych zawodowo nauczycieli wszystkich specjalności i typów szkół.

Efektem, między innymi, takiego stanowiska jest wymóg posiadania wyższego wykształcenia przy podejmowaniu pracy nauczycielskiej (Art. 10, p 1 Ustawy z dnia 27.IV. 72 Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela), o odpowiednie rozmieszczenie kadr (szczególnie w GSZ), znaczny nacisk na podnoszenie kwalifikacji osób pracujących zawodowo, a nie posiadających studiów wyższych oraz permanentne doskonalenie umiejętności zawodowych.

Sprawom tym służy powołany w 1972 roku Instytut Kształcenia Nauczycieli w Warszawie (Obok czterech innych instytutów prowadzących podobną działalność w resorcie oświaty).

Różnorodność form pracy doskonaleniowej, tematyka i czas organizowanych przez IKN zajęć dostosowane zostały do potrzeb nauczycieli różnych typów szkół i specjalności. Objęci doskonaleniem zostali dyrektorzy szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, nauczyciele specjalności unikalnych, nauczyciele języków obcych, pracownicy informacji naukowej i dokumentacji itp.

Działalność IKN uzupełniają i wzbogacają dwa typy instytucji szczebla wojewódzkiego podległe Instytutowi Kształcenia Nauczycieli w Warszawie Centra Doskonalenia Nauczycieli (CDN) i Instytuty Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych (IKN i BO).

Pierwsze z nich powstałe w niektórych siedzibach byłych Studiów Nauczycielskich podjęły doskonalenie wizytatorów metodyków przedmiotowych i nauczycieli poszczególnych specjalności, legitymujących się ukończeniem studiów wyższych. I tak dla przykładu CDN w Nowym Sączu przyjął doskonalenie nauczycieli przedmiotów matematyczno-przyrodniczych, CDN w Piotrkowie Tryb. — nauczycieli przedmiotów humanistycznych, CDN w Kaliszu — kadry kierowniczej szkół itd. CDN posiadające dobrze wyposażone sale wykładowe, laboratoria, pracownie, biblioteki i pomieszczenia hotelowe oraz gospodarcze zapewniają dobre warunki kształcenia i doskonalenia dużej ilości nauczycieli.

W myśl wytycznych Ministerstwa Oświaty i Wychowania każdy nauczyciel posiadający studia wyższe powinien co najmniej raz na pięć lat uczestniczyć w jednej z form doskonalenia organizowanego przez CDN lub wyższą uczelnię. Najbardziej rozpowszechnionymi formami pracy CDN są studia przedmiotowo-metodyczne dla nauczycieli różnych specjalności organizowane w okresie przerw wakacyjnych, oraz w czasie trwania roku szkolnego. Program studiów został tak skonstruowany, by nauczyciele danej specjalności mogli zetknąć się i zapoznać z najnowszymi osiągnięciami danej dyscypliny wiedzy, uzupełnić ewentualne braki oraz doskonalić swoje umiejętności zawodowe.

Drugi typ instytucji prowadzących doskonalenia to — IKNiBO (działa ich w kraju 19), prowadzące działalność wśród nauczycieli bez wykształcenia wyższego. IKNiBO prowadzą stałe doskonalenia przedmiotowo-metodyczne nauczycieli i kadr kierowniczych szkół podstawowych, organizują kursy przygotowujące do studiów wyższych oraz roczne studia przygotowujące do egzaminu kwalifikacyjnego równoważnego wyższym studiom zawodowym. Te ostatnie przeznaczone są dla nauczycieli posiadających co najmniej pięcioletni staż pracy dydaktycznej, pozytywną ocenę pracy i ukończony określony wiek (kobiety — 35, mężczyźni — 40). Są to formy o podobnym czasie trwania jak organizowane przez CDN.

Spośród różnorodnych form doskonalenia organizowanego przez np. IKNiBO w Łodzi (Jaracza 11) wymienić można tylko niektóre dla przykładu:

a) przygotowujące do studiów wyższych dla nauczycieli matematyki, fizyki, chemji, wychowania technicznego, biologii, wychowania muzycznego itp.

b) przygotowujące do egzaminu kwalifikacyjnego z takich kierunków jak np. fizyka, wychowanie techniczne.

c) przygotowujące pod względem rzeczowym i metodycznym nauczycieli poszczególnych specjalności na tzw. studiach przedmiotowo-metodycznych.

d) oraz inne kursy takie jak np. metodyki pracy ZHP, wychowania w rodzinie itp.

Inną istotną formą doskonalenia pracy nauczycieli jest Nauczycielski Uniwersytet Radiowo-Telewizyjny (NURT), prowadzony przez IKN, a koordynowany na szczeblu województwa przez IKNiBO (egzaminy, świadectwa ukończenia). Tą formą doskonalenia objęto w trzech podległych IKNiBO województwach tylko w roku 1975/76 — 4.107 nauczycieli, przeznaczając na wydatki organizacyjne sumę 250 tys. zł.

Egzemplifikacja prowadzonych przez CDN i IKNiBO form potwierdza tezę o powszechnym charakterze doskonalenia nauczycieli. Łącznie we wszystkich formach doskonalenia organizowanego przez IKNiBO w Łodzi (NURT i inne formy pracy) wzięło udział w roku szkolnym 1975/76 kilka tys. nauczycieli.

Wymienione wyżej formy pracy doskonaleniowej nie wyczerpują jeszcze zagadnienia. Prócz Instytutów (IKN: CDN i IKNiBO) działalność doskonaleniową prowadzą Zespoły Wizytatorów Metodyków Przedmiotowych, Rady Pedagogiczne i Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Z ekonomicznego punktu widzenia ważne byłoby prześledzenie, jakie efekty dydaktyczno-wychowawcze przynoszą te formy pracy. Takiej analizy nie można jednak dokonać bez szczegółowych i wszechstronnych empirycznych badań, które pokazałyby stan „przed uczestniczeniem w doskonaleniu" i „po". Dopiero porównanie tych dwu elementów, pokazanie warunków, w jakich dokonują się zmiany mogłoby dać odpowiedź na pytanie zasadnicze.

W warunkach naszego Instytutu badania takie przeprowadza się odnośnie pewnych form prowadzonego doskonalenia, wyniki tych badań będą znane dopiero po kilku latach. Dotychczasowy stan wiedzy w tym zakresie może tylko upoważniać — biorąc pod uwagę wcześniej omawiane badania — do stwierdzenia, że nakłady finansowe na doskonalenie nauczycieli przynoszą wymierne efekty ekonomiczne. Tę prawdę potwierdza codzienna obserwacja pracy nauczycielskiej: nauczyciele, którzy systematycznie doskonalą swoje umiejętności zawodowe, osiągają lepsze wyniki dydaktyczne, co znaczy w konsekwencji lepsze przygotowanie uczniów do pracy, a tym samym zwiększa wyniki ekonomiczne ich pracy.

System kształcenia — jak mówi w ciekawej książce M. Wąsowicz (Efektywność kształcenia) — jest niezwykle ważną dziedziną życia gospodarczego, a dobrze zorganizowany powinien być potężnym czynnikiem społeczno-gospodarczego rozwoju kraju.

HENRYK PIOTROWSKI

GUINNESS BOOK

LUDZIE MARZĄ O NIEŚMIERTELNOŚCI

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE" zamieszcza w numerze z 11 maja br. artykuł pióra Michaela Kernana, poświęcony słynnej już w świecie księdze rekordów — Guinness Book.

Do redakcji niemal każdej gazety przychodzą codziennie listy, elaboraty, wiadomości nadsyłane drogą telefoniczną: ktoś w stanie Delaware sam siebie pogrzebał żywcem i spędził pod ziemią 122 dni, ustanawiając nowy rekord; pewien człowiek ze stanu Connecticut zamierza obchodzić 60 rocznicę swoich urodzin na trzech kontynentach w ciągu jednego dnia; pewien chłopiec odbijał piłkę bez przerwy przez 60 godzin; rekordzista świata w chodzeniu do tyłu, ponownie ruszył w drogę.

Wszyscy ci ludzie marzą o nieśmiertelności. Rekordziści zdobywają rzeczywiście swego rodzaju nieśmiertelność, ich nazwiska są bowiem drukowane w specjalnej księdze rekordów światowych — **Guinness Book.** Każdy wie czym jest **Guinness Book.** Księga ta stała się sławniejsza i popularniejsza niż najczęściej pite piwo. Po raz pierwszy wydana została w roku 1954 w ilości 187 tysięcy egzemplarzy. Dziś jej nakład jest równy nakładowi Biblii i wynosi około 30 milionów.

Zainicjowana, gdy dyrektor browaru sir Hough Beaver strzelił do cebuli podczas polowania, chybił i zaczął się zastanawiać, czy nie strzelał przypadkiem do najszybszego ptaka świata — **Guinness Book** stała się szybko niemal instytucją prowadzoną przez dwóch braci bliźniaków, **Rossa** i **Norrisa McWhirterów.** Ross został zabity w roku 1975 przez terrorystę z Irlandzkiej Armii Republikańskiej, jego brat Norris dalej wydaje księgę rekordów. W wydawnictwie pracuje sztab złożony z 20 ludzi, wśród nich tylko 6 redaktorów. **Norris McWhirter** co roku uzupełnia i przerabia pełną edycję liczącej 688 stron księgi. Nawet jeśli nie ma żadnych nowych rekordów, prawie wszystkie dane muszą być co roku aktualizowane: najdłuższe wąsy świata urosły w ciągu minionego roku jeszcze o jeden cal, najwyższe drzewo świata urosło jeszcze o 30 cm.

Nowe rekordy, to inna sprawa. Są kolekcjonowane w specjalnej, skróconej wersji księgi i dotyczą rzeczywiście wszystkich możliwych i niemożliwych dziedzin życia. Znajdujemy tam takie informacje jak obieranie jabłka — najdłuższa skórka długości 130 stóp i 8 cali, gra w jojo — 5.753 odbicia itp. Ktoś z Los Angeles balansował na jednej nodze przez 7,5 godziny. Muzyk nazwiskiem Werner Hirzel założył jednoosobowy zespół, grając sam jednocześnie na 40 instrumentach. Bardzo wiele rekordów jest związanych z noszeniem cegieł, bądź też — odwrotnie — noszeniem jaj. Rekordy nie oznaczają wcale, że trzeba robić coś najszybciej. Istnieją rekordy najwolniejszego pisania na maszynie. Z drugiej strony jednak rekordzistą stał się najszybszy psychiatra: przyjmował 50 pacjentów dziennie (zresztą został później aresztowany). Istnieją rekordy opowiadania dowcipów, rekordy słuchania przemówień, rekordy przywiązywania się do łóżka i rekordy poruszania się w ciężkiej zbroi.

Oto odnośnik do rekordu plucia:

„Plujący, którzy dbają o swą reputację, noszą buty, których cholewka ma 12 cali wysokości, tak, aby można było mierzyć odległość, na jaką splunęli, bez używania specjalnej miarki".

Jeżeli idzie o rekordy gastronomiczne, tak wielka liczba ludzi wypijała czy zjadała takie ilości piwa, ciastek, lodów itp., iż w efekcie redakcja Guinness Book nie chce już słyszeć o niczym z tej dziedziny. Wydawców nie interesuje już liczba zjadanych na surowo jaj w skorupkach. Tego typu rekordy zaczęły się mnożyć w początku lat siedemdziesiątych, gdy **Guinness Book** stał się tak niezwykłym bestsellerem wśród młodego pokolenia Amerykanów, że pewien pisarz, którzy poprzednio potępiał zwyczaj bezmyślnego siedzenia godzinami przed telewizyjnym ekranem, teraz zaczął się zastanawiać nad wzrostem popularności „nie-książek", szczególnie **Guinness Book.**

Redaktorzy i wydawcy księgi rekordów musieli podjąć wówczas kroki, aby nie przekształcić **Guinness Book** w zbiór setek sztucznych i wymyślonych konkurencji: np. ktoś zobaczył popularną roślinę leczniczą, tzw. mniszek lekarski, i zaczął się zastanawiać, ile razy może powiesić na niej parasolkę, żeby jej nie złamać. Następną myślą takiego wynalazcy nowej konkurencji było poinformowanie o niej redakcji **Guinness Book.**

Wydawca amerykańskiej edycji księgi (centrala mieści się w W. Brytanii), **Sean Sullivan** mówi, iż istnieje pewna reguła. Każde wydarzenie i każdy rekord musi być wynikiem jakiejś rzeczywistej konkurencji czy zainteresowania wielu ludzi, musi także być weryfikowany w angielskiej, rodzimej redakcji. Najwięcej pomysłów przychodzi do głowy ludziom w tzw. „głupim sezonie", czyli wczesną wiosną. „Głupi sezon" to termin wymyślony swego czasu przez tygodnik LIFE, kiedy to — we wczesnych latach czterdziestych, studenci zwykli byli nagle połykać złote rybki, robić sztuczny tłok w budkach telefonicznych itp., po czym odpowiednie zdjęcia wysyłali do tygodnika.

Sean Sullivan nie odnotowuje prób, które się nie udały.

— Nie chcemy, aby ktokolwiek wiedział, że jakiś człowiek czegoś się podjął i poniósł porażkę — mówi. — **Wystarczająco wiele złego przynosi praktyka, gdy np. ktoś w telewizji mówi, że w jakiejś dziedzinie dokona rekordu i że ten jego rekord będzie opisany w księdze. W istocie nie dokonał tego rekordu, i nie ma go w naszej księdze. Po prostu kiedyś twierdził, że czegoś dokona i nie udało mu się...**

Zespół redakcyjny w „kwaterze głównej" księgi rekordów, mieszczącej się pod Londynem, potwierdza w rozmowie telefonicznej, iż **„nasza generalna polityka polega na relacjonowaniu jedynie rzeczywistych rekordów".** W księdze pozostawia się jednak niemal do ostatniej chwili wolne strony tak, aby można było jeszcze zanotować na nich ostatnie wydarzenia. Jedna stronica księgi zawiera bardzo dokładne instrukcje w sprawie wypełniania „kwestionariusza rekordu". Wszystko trzeba w takim kwestionariuszu wypełnić: wiek i płeć rekordzisty, dokładna data i dokładne miejsce rekordu. Rekordzista jest zobowiązany podać personalia dorosłych świadków, nie będących członkami rodziny, ani też przyjaciółmi. „Zeznania" świadków muszą być notarialnie potwierdzone. Rekord musi być potwierdzony przez odpowiedni dział gazety, radia czy telewizji. Oczywiście, rekordy dokonywane przez ludzi świadomie, stanowią tylko bardzo niewielką część tej zadziwiającej księgi rekordów. Na jej stronicach znajdujemy opisy setek zadziwiających zjawisk przyrody, różnych zniekształceń i wynaturzeń świata ludzkiego, zwierzęcego i roślinnego. Można powiedzieć, że w księdze rekordów odnotowane są wydarzenia sięgające od mikrobów do uniwersum.

Michael Kernan cytuje informację z **Guinness Book** z roku 1975. Informacja dotyczy najwięcej ważącego noworodka. Czytamy w niej:

„Najcięższy normalnie urodzony noworodek czasów nowożytnych, to chłopiec ważący 24 funty i 4 uncje. Urodził się 3 czerwca 1961 r. w południowej Turcji. Jego matka nazywa się Saadet Cor. Informacja z południowo-zachodniego Iranu, iż 32-letnia Massoumeh Valizadeh urodziła chłopca ważącego 26 funtów i 6,5 uncji w dniu 7 lutego 1972 r. — została oficjalnie zdyskwalifikowana jako nieprawidłowa. Nie potwierdzone doniesienia mówią o kobiecie, która w czerwcu 1929 r. urodziła we Francji dziecko ważące 27 funtów. Zdeformowany noworodek ważący 29 i jedna czwarta funta i 8 uncji, urodzony został w maju 1939 r. w szpitalu w USA w stanie Illinois, jednakże noworodek ten żył tylko dwie godziny".

Fot. Archiwum

ZŁOTA PRAGA

O niepowtarzalnym uroku miasta decyduje malownicze położenie na pięciu nadwełtawskich wzgórzach (177—383 m) oraz liczne, dobrze zachowane zabytki. Początki historii miasta sięgają X w. W tym bowiem okresie po obu stronach Wełtawy powstały dwie warowne osady: **Hradczany i Wyszehrad.** Z upływem lat wokół zamków powstały i dołączyły się: Stare Miasto — XII w., Mała Strana i Nowe Miasto — XIV wiek. W średniowieczu były to odrębne jed..ostki, których ostateczne połączenie nastąpiło w 1784 r. Dziś te odrębne niegdyś miasta stanowią historyczne dzielnice starej Pragi.

Dzisiejsza Praga to centralny ośrodek polityczny i administracyjny, a także poważny ośrodek przemysłowy (budowa maszyn, elektrotechnika, poligraf'a), naukowy (12 wyższych uczelni, liczne instytuty naukowe, Akademia Nauk) i kulturalny (20 teatrów, liczne sale koncertowe, muzea, sale wystawowe). Nagromadzenie na względnie niewielkim obszarze tak licznych zabytków stawia przed turystami, licznie odwiedzającymi Pragę, niełatwy do rozwiązania problem — od czego zacząć i co zwiedzać, dysponując z reguły ograniczonym czasem. Już pierwsze wrażenia przywołują z pamięci określenia „Rzym Północy", „Złota Praga", „Miasto stu Wież". W każdym z tych określeń tkwi cząstka prawdy.

W recepcji hotelu **„Beranek"**, znajdującego się niedaleko centrum Pragi — Waclawskich Namesti — otrzymałem 160-stronicowy folder zawierający spis ważniejszych i ciekawszych lokali gastronomicznych. Z literaturą przedmiotu w ręku ruszyłem na miasto.

Poznawać kraj można także poprzez... bufet, zwłaszcza, że czechosłowacka gastronomia jest dla polskiego klienta naszej „sieci zbiorowego żywienia" czymś zupełnie egzotycznym i niepojętym. Dość powiedzieć, że **w samej tylko Pradze mamy cztery lokale ze specjalnością kuchni rosyjskiej (Bieriozka, Bistro Bieriozka, Gruzja i Moskwa), dwa lokale z kuchnią jugosłowiańską (Słowacka Izba i U pasterki) oraz restauracje — chińską, bułgarską (Sofia) i włoską (Viola Trattoria).**

Zwiedzanie zacznijmy jednak od typowo praskiej restauracji **„U Kalicha"**. Kto czytał **„Przygody dzielnego wojaka Szwejka"** wie, że to właśnie tu dzielny wojak przesiadywał nad kuflem pilznera. Dziś wnętrze restauracji ozdobione jest scenami ze słynnej powieści, malowanymi na ścianach, nad szynkwasem wisi portret Cesarza, a piwo serwuje barman przypominający powieściowego Paliwca. Oczywiście także w jadłospisie znajdziemy takie potrawy jak **„Sekret Szwejka", „Potrawa Paliwca"** czy **„rosbef pani Milerowej"**. Być w Pradze a nie być **„U Kalicha"**, to duży nietakt!

Adres: Na bojitsi (Na boisku) 12. Restauracja jest czynna od 11 do 15 i od 17 do 23.

Przy ulicy **Kremencowej 11/183** znajduje się inny słynny lokal **„U Fleku"**, też zresztą wspomniany w powieści Jarosława Haszka. Podają tu niezwykłe, unikalne wprost piwo — ciemne, ale kilkunastoprocentowe, jakiego nie znajdziecie nigdzie więcej.

Słynna jest praska **„Złota uliczka"** na zamku Hradczany, ale nie mniej słynna jest gospoda **„U Zlate Uliczki"**. Po trudach wędrówki kamiennymi dziedzińcami zamku można tu wpaść, aby zjeść dziczyznę pieczoną w kaflowym piecu, albo wypić piwo w ogródku za gospodą. Na ścianach gospody piękne projekty znaczków pocztowych, co może być osobną atrakcją dla piwoszy — filatelistów. **Godziny otwarcia od 11 do 19.**

Jedną ze słynnych winiarni jest lokal przy **ul. Nerudy 12/210 „Pod trojgiem skrzypiec"**. Jest to nazwa nie tylko winiarni, ale i całego domu, w którym od 1667 roku mistrz Otto, a potem Tomasz Edlinger z Augsburga wyrabiali słynne na całe Czechy skrzypce.

Dziś na parterze — pod herbem z trojgiem skrzypiec — mieści się praska winiarnia. Szczególnym powodzeniem cieszą się tu wina „Apollo", „Rendez-vous", „Gracja"... **Godziny otwarcia od 15,30 do 23,30, w sobotę 16—24.**

Przy ul. Belgradzkiej 12, w gospodzie słowackiej **„U pasterki"** można natomiast posmakować zbójnickiej pieczeni „Janosik". Wino nalewają tu prosto z beczek, gra orkiestra góralska — słowem nastrój i atmosfera jak w pasterskiej kolibie. **Godziny otwarcia: od 15 do 1 w nocy.**

Natomiast amatorów ryb skierujemy na **Waclawskie Namesti 43/819.** Mieści się tu restauracja rybna **(Rybarna)** czynna od 11 do 21. Specjalność tego lokalu to m. in. jesiotr pieczony na rożnie, krewetki po indyjsku oraz karp przyrządzony na dziesięć sposobów, czyli sztuczka pod tytułem: „co można zrobić ze zwykłego karpia". No i — oczywiście — pilzner, wszak ryba lubi pływać.

Kto natomiast nad ryby przedkłada dziczyznę może się wybrać do restauracji **„Mysliwskiej" (Mysliwna) przy ulicy Jagiellońskiej 31. Godziny otwarcia od 11 do 24.** „Mysliwna" mieści się dość daleko od centrum — w dzielnicy Żiżkowo, ale wybrać się tam warto.

Spragnionym egzotyki natomiast proponuję słynną praską **„chińską restaurację" przy ulicy Wodiczkowej 19, czynną w godzinach 12—15 i 18—21.** Wiadomo, że chińska kuchnia jest jedną z lepszych na świecie i ta stara prawda potwierdza się także w Pradze. W karcie znajduje się tu około 80 typowo chińskich potraw, szczególnie z kuchni kantońskiej i seczuańskiej. Nie ma tu żadnej gastronomicznej lipy — wszystko, z wyjątkiem mięsa, jest tu sprowadzane z Chin i wszystkie potrawy przyrządza się wg starych chińskich przepisów. Także sposób jedzenia jest chiński — nie dostaniecie widelców lecz pałeczki.

Typowo praskie jest tu tylko piwo, oczywiście pilzner. Ale jest także ryżowa wódka.

Myślę, że dalszej podróży po przybytkach praskiej gastronomii nie wytrzymałaby ani nasza kieszeń, ani głowa. Wracajmy więc do hotelu, jeśli jeszcze nie zapomnieliśmy jego nazwy.

WARTO WIEDZIEĆ...

Za magazynem „Światowid" podaję kilka informacji dla tych Czytelników, którzy planują wyjazd do Czechosłowacji.

PIENIĄDZE. W ramach dwuletniej normy przydziału dewiz wymienić można maksimum 400 zł na korony, jednakże przy wyjazdach indywidualnych równowartość 100 koron raz na kwartał. Natomiast, jeśli w Polsce zakupimy za złotówki (bez odpisu) świadczenia (vouchery) w Czechosłowacji, to możemy z normy przydziału wymienić równowartość 160 zł na każdy dzień pobytu, to jest 75 koron, wymiana taka nie może jednak przekroczyć 3000 zł przy jednym wyjeździe.

Za 100 koron płacimy 197,99 plus 12 proc. opłaty turystycznej

KWATERY PRYWATNE. Za pokój dwuosobowy od 70 koron w kat. I i około 40—60 koron w kat. II. Noclegi rezerwować można w Pradze za pośrednictwem Cedok-Hotelowy Dispecinek, ul. Pańska 5, tel. 224-255 (czynne od 8 do 22) oraz w Pragotur, ul. U Obecuho domu od 8 do 22. W okresie wakacji czynne są hotele w domach akademickich; koszt noclegu od osoby — 33 korony.

POSIŁKI. Całodzienne utrzymanie w barach samoobsługowych tzw. automatach kosztuje ok. 35 koron (śniadanie 10, obiad 15, kolacja 10). Ceny posiłków w restauracjach są wyższe o 20—150 proc., zależnie od kategorii.

ŻYWNOŚĆ. Chleb — 2,60 — koron. Masło — 32-44 korony. Mleko — 1,90 — 3 korony, wędliny — 15 — 100 koron. Sery żółte — 22 — 35 koron. Piwo (butelka) — 1,70 — 3,60 koron. Wino — 11 — 50 koron.

KOMUNIKACJA MIEJSKA. Bilet kosztuje 1 koronę, taksówka — 3 korony za „złamanie chorągiewki" i 1,80 za 1 km. Trzygodzinne zwiedzanie Pragi kosztuje 50 koron od osoby, całodzienna wycieczka z Pragi na Zamek Karlstein — 80 koron (łącznie z obiadem).

JERZY WILMAŃSKI

Fot. Archiwum

TURYSTYCZNA GORĄCZKA

Było to w Dzień Dziecka. Zaczął się czerwiec. Jeszcze trochę i będzie lato. Ruszy lud w letnią wędrówkę. Zapełnią się pociągi, autobusy. Zapanuje tłok na szosach, a w urzędach i instytucjach kojąca letnia cisza. Nim więc to się stanie — pomyślałem — trzeba odwiedzić znajome dzieci, pożegnać się z nimi, złożyć im życzenia z okazji Dnia Dziecka. Może i ja ruszę w podróż, w szeroki świat. Po nocach śnią się mi już plaże południowych mórz.

Nabyłem kilka czekolad i ruszyłem przed siebie. Najpierw postanowiłem złożyć wizytę Antosiom. Zza drzwi dochodził gwar licznych głosów, jakby do Antosiów zwaliła się cała rodzina. Dzwoniłem długo i wytrwale nim otwarły się drzwi i wyjrzało zza nich najmłodsze dziecko Antosiów.

— **O, wujek** — zawołało — **a my się przygotowujemy do wyjazdu.**

— Wyjeżdżacie? — zdziwiłem się. — A dokąd?

— **Z tatą za granicę.**

Tata, czyli Antoś stał w środku pokoju, który na ten czas zamieniony został w poligon. Wokół Antosia leżały liczne pakunki oraz stała w karnym szeregu rodzina.

— **A to ty** — powiedział bez entuzjazmu Antoś, — **bo my tu właśnie szykujemy się do drogi.**

— Kiedy wyjeżdżacie?

— **Za dwa tygodnie** — powiedział Antoś i niespodziewanie zakomenderował: — **Pakujemy się!**

— Już teraz?

— **Nie** — Antoś niecierpliwie machnął ręką — **teraz ćwiczymy szybkie pakowanie się do samochodu. Jedziemy przecież moim wozem** — dodał nie bez dumy.

— **A w niedzielę byliśmy w lesie** — powiedziała starsza latorośl Antosiów — **i uczyliśmy się rozwijać i zwijać namiot.**

— I jak wam poszło?

— **Im to poszło dobrze** — powiedział Antoś — **ale ja się do tego namiotu zupełnie nie mieszczę. I w czym ja będę spał?** — zwrócił się nagle do żony. — **W pidżamie? Czy ja zupełnie zgłupiałem. Gdzie ja teraz dostanę dres? Potrzebny mi jest dres.**

— **Na jakim ty świecie żyjesz** — odpowiedziała spokojnie Antosiowa. — **To ty nie wiesz, że dobry turysta ekwipunek na lato kupuje zimą, a na zimę — latem. Oj, Antoś, Antoś!**

— **Czy ja zimą wiedziałem, że zwariuję latem** — Antoś spojrzał na mnie strapionym wzrokiem.

Dopiero na schodach spostrzegłem, że nie dałem dzieciom Antosiów przyniesionych dla nich czekolad. Trudno — pomyślałem sobie — i poszedłem dalej. Do Joasi, aby przy okazji pogadać o różnych sprawach z jej tatusiem.

Tatuś Joasi siedział przy stole i obliczał. Machnął na moje powitanie ręką i zaczął cyrklem odmierzać coś na mapie Europy. Joasia dostała czekoladę i solidnie usmarowała sobie nią buzię. Mamusia Joasi zrobiła mi herbatę. W domu panowała idealna cisza. Joasia jadła czekoladę i patrzyła przestraszonymi oczyma na tatusia, a mamusia Joasi pukała się w głowę ruchem bardzo wymownym.

Tatuś Joasi nagle oderwał się od mapy, odsunął cyrkle, linijki i kątomierze i westchnął:

— **To by było na tyle. Trzy dni nam starczy.**

— Karolku — powiedziałem — a możesz mi powiedzieć na co potrzeba ci trzech dni.

— **Na dojazd** — powiedział Karolek. — **A to ty nic nie wiesz** — ucieszył się. — **Wyobraź sobie, że mam już dość tych cholernych chłodów i jedziemy nad ciepłe morze.**

— Do Afryki może? — spytałem, bo i śniły mi się przecież ciepłe morza.

— **Nie, bliżej.**

— Do Hiszpanii?

— **Jeszcze bliżej** — zdenerwował się Karolek — **do Bułgarii. Tam też jest ciepłe morze. Czerwone.**

— **Czarne** — powiedziała mamusia Joasi.

— **Co czarne?** — spytał nieprzytomnie Karolek.

— **Tam jest Czarne Morze** — powiedziała dobitnie mamusia Joasi.

— **Wszystko jedno** — Karolek machnął ręką. — **Jest ciepłe.**

I przysunął do siebie mapę, cyrkle i kątomierze. Mamusia Joasi wzięła Joasię do łazienki, aby zmyć z jej buzi czekoladę. A ja cichutko wymknąłem się na schody.

Dzień był słoneczny ale chłodny. W słońcu ledwie 16 stopni. Niewątpliwie Karolek ma rację. Trzeba jechać nad ciepłe morza. Do Afryki na przykład. Albo nad morza południowe. Zatem szybko na dworzec, aby zobaczyć kiedy odchodzą pociągi. Po drodze miałem do Olesiów, których też powinienem był odwiedzić i dać ich dzieciom czekolady. Miałem tych czekolad jeszcze sporo. U Olesiów trafiłem na pakowanie.

— Gdzie dzieci?

— **U mamy** — powiedziała Ludwika i dodała — **przyda się, nie przyda, biorę.**

— **O Boże, ona zwariowała** — załkał Oleś, kryjąc twarz w dłoniach. — **Kto to wszystko będzie nosił?**

— **Ty** — powiedziała spokojnie Ludwika i wyciągała z szafy coraz to nowe sukienki, które następnie upychała w wielkiej walizie stojącej na podłodze.

— **Ja biorę tylko dżinsy i gruby sweter** — powiedział Oleś i wstał z krzesła.

Ludwika przerwała pakowanie i spojrzała na niego.

— **Olesiu** — powiedziała — **czy ty masz dobrze w głowie. A w czym pójdziesz na tańce i hulanki?**

— **Ja jadę odpoczywać. Mnie potrzebne są tylko majteczki kąpielowe. Nic więcej.**

— **To ty myślisz, że ja tam jadę tylko na plaży leżeć, że będę tylko patrzeć na twoje piegowate plecy. To ja do żadnego lokalu nie mam pójść. To...**

— A co zrobicie z psem? — zapytałem, aby załagodzić rozpoczynającą się sprzeczkę. Ludwika spojrzała na mnie z gniewem, ale Oleś był mi wyraźnie wdzięczny.

— **Psa i dzieci zabrała mama** — powiedziała Ludwika tonem obrażonej księżnej. — **Jak raz w życiu mam przyzwoity urlop, to nie mam wcale zamiaru go zmarnować.**

Ostatnie słowa skierowane były do Olesia. Pożegnałem się szybko i wyszedłem. Nie poszedłem jednak na żaden dworzec. W czerwcu — postanowiłem sobie w duchu — nigdzie nie pojadę. Żadne południowe morza, żadne rozgrzane słońcem piaski. Najwyżej nad Zalew Sulejowski. Afrykańskiego żaru tam może i nie będzie, ale spokój, cisza i ryby można będzie połowić. A poza tym blisko, pakować się nie trzeba, liczyć i mierzyć, trenować i przygotowywać się.

MARCIN RODAK

U PRZYJACIÓŁ

Przeszło 1400 państwowych placówek muzealnych działa obecnie w Związku Radzieckim. Liczba ta oczywiście nie obejmuje tysięcy tego typu placówek przy organizacjach i towarzystwach społeczno-kulturalnych, zakładach pracy, szkołach i innych instytucjach. Muzeum państwowe znajduje się niemal w każdym obwodzie. Wielkie kolekcje Kraju Rad cieszą się zasłużoną sławą i popularnością również za granicą.

Zbiory muzeów Związku Radzieckiego gromadzą około 50 mln eksponatów o wielkiej wartości artystycznej i historycznej. Jedno tylko Państwowe Muzeum Historyczne, założone przed przeszło stu laty, zebrało kolekcję liczącą już ponad cztery miliony pozycji katalogowych. Przechowywane są one w siedzibie tego muzeum w Moskwie oraz w jego filiach m. in. w Nowodziewiczym Monasterze, a także w Soborze Pokrowskim i cerkwi w Nikitinkach.

W Centralnym Muzeum Rewolucji ZSRR zebrano ponad milion pamiątek z walk i zwycięstw narodu radzieckiego. Ok. 500 tys. dokumentów i fotografii, 50 tys. dzieł sztuki i wiele innych obiektów zarejestrowano w zbiorach Centralnego Muzeum Armii Radzieckiej. Prawie półmilionowymi zbiorami dysponuje Muzeum im. Bachruszyna (teatralne) i im. Glinki. To ostatnie poświęcone kulturze muzycznej, szczyci się bogatą kolekcją instrumentów.

Zbiory muzeów radzieckich ciągle rosną. Tylko w latach 1975—1976 muzea Rosyjskiej Federacji wzbogaciły się o przeszło milion nowych nabytków, muzea Ukrainy o blisko 200 tys., Gruzji o 110 tys., Kazachstanu o 50 tysięcy. Podobnie powiększyły się też zasoby muzeów innych republik.

Przy rozbudowie placówek muzealnych i zakładaniu nowych, wiele uwagi poświęca się w Kraju Rad historii współczesnej. Z tym okresem związanych jest ok. 50 tysięcy materiałów włączonych do zbiorów. Dotyczą one wszystkich poważnych wydarzeń dnia dzisiejszego. Państwowe Muzeum Tatarskiej ASRR skompletowało ostatnio muzealną kronikę budowy Kamskiego Zakładu Samochodowego, na budowie Bajkalsko-Amurskiej Magistrali przebywały ekspedycje z przeszło 30 muzeów. Również wiele obrazów, rzeźb i grafik, a także innych dzieł sztuki współczesnej stało się własnością muzeów.

W ostatnich latach wzrosła również znacznie powierzchnia ekspozycyjna.

W latach 1971—1975 powiększyła się ona o 60 tys. metrów kwadratowych, osiągając 500 tysięcy metrów kwadratowych. Ważnym wydarzeniem w życiu całego Kraju Rad stało się otwarcie leninowskich kompleksów muzealnych w Ulianowsku i Szuszenskoje oraz otwarcie Muzeum W. Lenina w Taszkiencie. Nowe budynki otrzymały muzea w Doniecku, Czernichowie, Dniepropietrowsku, Ufie, Wilnie i innych miastach. W Moskwie rozpoczęto prace przy budowie nowego gmachu Państwowej Galerii Obrazów ZSRR.

Nic więc dziwnego, że przy tak szerokim rozmachu organizacyjnym z roku na rok wzrasta frekwencja w salach muzealnych. W 1976 r. muzea odwiedziło ok. 140 mln osób. Najwięcej, bo 3.800 tys. oglądało zbiory Ermitażu, przeszło dwa miliony Państwowego Muzeum Historycznego, Galerii Tretiakowskiej — 1,7 tys.

W ostatnich latach szczególnie cenna działalność naukowo-dydaktyczna prowadziły Muzea Radzieckie w związku z obchodami 100 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina, 50 rocznicy powstania Zwiazku Radzieckiego, 30 zwycięstwa nad faszyzmem. Obecnie muzea Kraju Rad włączyły się w obchody 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Oddzielny rozdział działalności radzieckich muzeów stanowi współpraca z podobnymi placówkami w innych krajach. Oprócz kontaktów roboczych prowadzą one stałą wymianę ekspozycji, co roku w innych krajach.

Muzea Kraju Rad organizują ok. 80 wystaw i podobną liczbę wystaw zagranicznych eksponują w swoich siedzibach.

Oprócz państwowej Galerii Obrazów ZSRR sieć muzealna Kraju Rad powiększy się w niedalekiej przyszłości o nowe placówki. M. in. w stolicy mającej ok. 100 muzeów, już niedługo przyjmie pierwszych zwiedzających Muzeum Kosmonautyki. Na Arbacie natomiast pod nr 53 zawiśnie tablica „Dom-Muzeum Aleksandra Puszkina".

SKANDAL W SZWAJCARII

BANKI NA CENZUROWANYM

W hermetycznym bankowym świecie Szwajcarii wybuchła panika. Przybiera na sile najgłośniejszy skandal w historii tego kraju, w który jest zamieszany Szwajcarski Bank Kredytowy, jeden z trzech największych banków w Szwajcarii. Rozmiary strat, szacowane na razie powierzchownie, ocenia się na około 400 milionów dolarów.

Skandal przybrał jeszcze większe rozmiary, kiedy został zamknięty drugi, mniejszy bank, a jego dwóch pracowników na wyższych stanowiskach popełniło samobójstwo. Rozległy się żądania przeprowadzenia reform, zaczęto przebąkiwać o krachu całego bankowego systemu. I chociaż, prawdę mówiąc, nikt w Szwajcarii nie spodziewa się radykalnych reform w tym przedmiocie, nie wykluczone, iż bankowy świat Szwajcarii nigdy już nie odzyska zaufania z dawnych lat.

Na razie skandal nie odbił się na stanie przeżywającej spadek szwajcarskiej ekonomice, a banki, które stanowią największą jej gałąź, będąc finansowym przemysłem tego kraju, nie poniosły jeszcze strat z powodu ucieczki kapitałów. Co prawda, niektórzy zagraniczni klienci, włącznie z arabskimi szejkami naftowymi, pobrali ze swoich kont pewne sumy, lub przelali pieniądze na konta innych banków. Pewien szwajcarski finansista — jak podaje „Newsweek". — wyraził opinię, że jest to wprawdzie gruby skandal, ale za rok wszyscy o nim zapomną, gdyż większość klientów, którzy lokują swoje środki płatnicze w Szwajcarii nie ma innego wyjścia ze względu na specyfikę tamtejszych banków. Niemniej jeśli zachwieje się wiara w szwajcarski system bankowy, może nastąpić gwałtowny odpływ kapitałów.

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów tego systemu jest fakt, że w Szwajcarii „brudne pieniądze przechodzą przez czyste ręce". Działając za zasłoną zagwarantowanej tajemnicy, która chroni deponentów nawet od wścibskich rządowych inspektorów, banki przyjmują pieniądze praktycznie od wszystkich, nie zadając żadnych pytań i zobowiązując się do zachowania tajemnicy wkładów i ich nienaruszalności. Warto dodać, iż naruszenie zasad bankowych operacji i rozgłaszanie tajnych informacji o wkładach uważa się w Szwajcarii za poważne przestępstwo. Jeśli chodzi o machinacje podatkowe, czy nielegalne operacje walutowe to patrzy się na to w tym kraju przez palce. Szwajcarzy wyrażali od czasu do czasu swoje niezadowolenie ze złej opinii jaką mają największe szwajcarskie banki, jednakże bankierzy zawsze bronili swego systemu, mimo iż w ciągu ostatnich 8 lat 28 szwajcarskich banków miało nie raz duże nieprzyjemności. Winę składano na „szczególne okoliczności" lub po prostu zwalano na jakiegoś kozła ofiarnego.

Skandal, wywołany aferami w Szwajcarskim Banku Kredytowym, można porównać do ciosu sztyletem w samo serce. Najwyższe kierownictwo jednego z najbardziej solidnych banków w Szwajcarii, na przestrzeni co najmniej 8 lat, wiedziało (okazało się to teraz), że w jego oddziałach dojrzewały wielkie nadużycia i nie przedsięwzięło żadnych kroków zaradczych, bowiem zyski płynęły szeroką rzeką... Władze oskarżyły dyrektora oddziału Szwajcarskiego Banku Kredytowego w Ciasso (miasto na granicy z Włochami), Ernsta Kurmayera, o przeniesienie około 800 milionów lirów włoskich na rachunek kompanii finansowej Liechtensteinu, na którym sam miał tajne wkłady. Kurmayer proponował swoim klientom wysokie procenty i w wielu wypadkach gwarantował korzystne rozmieszczenie kapitałów. Jednakże o niczym nie informował centralnej dyrekcji banku, jak wymagały tego przepisy. W 1969 roku kierownictwo Szwajcarskiego Banku Kredytowego dowiedziało się o tych ciemnych operacjach Kurmayera i zleciło mu je przerwać. Zlecenie to było jednak bardzo mgliste. Poza tym nie podjęto żadnych innych kroków, a Kurmayer udzielił tymczasem dalszych gwarancji bankowych na sumę 140 milionów lirów.

Kompania „Tekson" w Liechtensteinie, o niej to bowiem mowa, finansowała przeważnie działalność włoskich firm zajmujących się produkcją win, mas plastycznych i obsługą turystów. „Tekson" stała się ważnym klientem Szwajcarskiego Banku Kredytowego. Jednakże później okazało się, że „Tekson" dysponowała głównie fikcyjnym kapitałem, a Szwajcarski Bank Kredytowy, na który wywierali presję konkurenci, obawiając się, iż machinacje w Ciasso kryją groźbę dla całego bankowego systemu w Szwajcarii, poleciły Kurmayerowi, tym razem już bardziej energicznie, zaprzestania tych operacji. On i jego współpracownicy stanęli później przed sądem. Tymczasem naczelny dyrektor Szwajcarskiego Banku Kredytowego, H. Wufly, jego zastępca — S. Meville i honorowy przewodniczący F. Schultzhess zostali usunięci ze swoich stanowisk, a nowy dyrektor naczelny stara się obecnie uchronić bank przed dalszymi konsekwencjami.

Jak się teraz okazało „Tekson" jest dłużna Szwajcarskiemu Bankowi Kredytowemu około miliarda dolarów. Przedstawiciele banku zeznali, że kierownictwo nic nie wiedziało o naruszaniu dyspozycji, które otrzymał Kurmayer. Szwajcarscy bankierzy uważają jednak, iż sprawy mają się wręcz odwrotnie. „Dopóki operacje w Ciasso były korzystne, powiedział pewien finansista z Zurychu, nikt nie chciał zadawać kłopotliwych pytań"...

Panika w finansowym świecie Szwajcarii rozpoczęła się, kiedy do banków szwajcarskich zagraniczni deponenci przekazali znaczne sumy pieniężne. Pieniędzmi trafiającymi do rąk szwajcarskich bankierów obraca się zazwyczaj bardzo ostrożnie. Jednak w ostatnich latach finansiści dążyli do takiego obrotu tymi środkami, żeby otrzymywać możliwie największe dochody. Zaczęli więc spekulacje na międzynarodowych rynkach walutowych i operacjach z nieruchomościami. Tak właśnie rozwijały się wydarzenia w banku Leclerc and Company. To niewielkie, prywatne przedsiębiorstwo tak skrzętnie kryło się przed oczami ciekawskich, że nawet u jego drzwi wejściowych przytwierdzono tylko maleńką tabliczkę z nazwą banku. Naczelny dyrektor banku Leclerc and Company, znany przedstawiciel finansowego świata Genewy, Bertrand Mural, zastrzelił się w przeddzień krachu banku. Dobę później z Jeziora Genewskiego wyłowiono zwłoki byłego dyrektora tego banku, Charlesa Bucharde. Właściciel banku, Robert Leclerc, znalazł się w szpitalu. On i jego klienci zarobili masę pieniędzy w latach 60, lokując kapitały w nieruchomościach. Później jednak wiatr na rynku finansowym powiał nagle w odwrotnym kierunku i deponenci nie zdążyli wycofać swoich pieniędzy.

Skandal, w który jest zamieszany Szwajcarski Bank Kredytowy zaszokował miejscowych finansistów. Spadła na nich lawina krytyki. Pewien amerykański biznesmen powiedział iż słuchy o dziwnych operacjach w banku kredytowym chodziły po Nowym Jorku już od przeszło pół roku. Nie ulega więc wątpliwości, że głośno było o tym w Genewie i dziwne, że nie zainteresowało to ani jednego inspektora. Ale w Szwajcarii nie wolno skontrolować działalności banku nawet, jeśli uznaje się to za rzecz konieczną. Ten głośny skandal wywołał niezadowolenie szwajcarskiej opinii publicznej i pewne reformy w działalności banków uważa się za nieuniknione. „Być może — pisze prasa burżuazyjna — że banki będą musiały składać informacje o wysokości swoich aktywów oraz podawać źródła ich pochodzenia". Ale są to wszystko pobożne życzenia i nikt w Szwajcarii nie bierze poważnie takich przypuszczeń, nawet, jeśli te skandale bankowe zbulwersowały szwajcarską opinię publiczną i zaniepokoiły rząd. Nowy dyrektor banku kredytowego powiedział: „Jeśli by nie było Szwajcarii, świat finansowy musiałby ją stworzyć. Oto, dlaczego obecny skandal niczego nie zmieni". Możliwe. Ale odbił się on głośnym echem w wielu krajach świata kapitalistycznego i zadał cios legendzie o „uczciwości" i „solidności" szwajcarskich bankierów.

JERZY CZECH

POŻAR NA PUSTYNI

Na jednym z odgałęzień rurociągu naftowego w Abkaik, w Arabii Saudyjskiej, nastąpił wybuch i następnie gigantyczny pożar. Kilka osób zginęło, 30 odniosło ciężkie rany, los wielu innych jest nieznany. Ogień przerzucił się błyskawicznie na główny przewód rurociągu i ogarnął stację pomp. Nastąpiło przerwanie wydobycia ropy. Rurociąg łączący najbogatszy na świecie roponośny rejon Huar z portem Ras Tannur, i przechodzący przez rejon pól naftowych Abkaik, został unieruchomiony. Zdaniem obserwatorów, wstrzymanie wydobycia ropy w Abkaik i zamknięcie rurociągu powinny się odbić na światowych rynkach: naftowym i walutowym. Pierwsza na te wydarzenia zareagowała Japonia. Jej rząd wyraził zaniepokojnie z powodu tej katastrofy, która spowodowała znaczny spadek kursu akcji 225 japońskich kampanii.

Władze Arabii Saudyjskiej, pragnąc uspokoić swoich konsumentów nafty, złożyły oświadczenie, iż w okresie kryzysu, w celu utrzymania eksportu na tym samym poziomie, uruchomią zapasy nafty zgromadzone w zbiornikach w porcie Ras Tannur. Wiadomo, iż w marcu tego roku w Arabii Saudyjskiej wydobywano codziennie 9 milionów 470 tys. baryłek ropy naftowej. (1 baryłka = = 159 litrów). Teraz ropa płynie tylko jednym rurociągiem, którego dzienna przepustowość wynosi około 1 miliona baryłek.

Ze względu na światową pozycję Arabii Saudyjskiej w eksporcie ropy naftowej, przyczyny pożaru zainteresowały wiele krajów Zachodu. W Rijadzie mówi się, że spowodowała go korozja i zły stan rurociągu. Według innych wersji pożar był wynikiem dywersyjnej działalności, chociaż prezydent amerykańskiej kompanii ARAMCO kategorycznie temu zaprzecza. Jest jednak tajemnicą poliszynela, iż naftowe urządzenia Arabii Saudyjskiej znajdują się pod nieustanną ochroną i baczną kontrolą USA, a ściślej mówiąc — CIA. Niektórzy obserwatorzy idą jeszcze dalej, uważając za zupełnie możliwe — pisze komentator bagdadzkiego dziennika „Tarik asz-Szaab" — iż agenci CIA sami spowodowali pożar, żeby zmusić wahających się do przyjęcia energetycznego programu prezydenta Cartera. Istotnie, wstrzymanie dostaw ropy naftowej z Arabii Saudyjskiej zmusiłoby kraje, w znacznym stopniu uzależnione od tych dostaw, do drastycznych ograniczeń.

Należy także wspomnieć i o tym, że nie tak dawno saudyjski minister do spraw nafty, bez żadnego istotnego powodu, podniósł kwestię reżimu oszczędności nafty. Nasuwa się pytanie, czy pożar nie jest czymś w rodzaju alternatywy takiego reżimu, lub pewnego rodzaju przygotowaniem do jego praktycznej realizacji?

(C)

■ Doniosły wybór
■ Ku przyszłości
■ Już w parlamencie

Leonid Breżniew wybrany został przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Odtąd łączyć będzie swoją najwyższą funkcję partyjną z najwyższą państwową.

Ta wiadomość lotem błyskawicy obiegła cały świat. Wzbudziła powszechne zainteresowanie, ponieważ Leonid Breżniew wywarł na politykę zagraniczną ZSRR przemożny wpływ i znany jest z dynamizmu, z jakim podejmuje pokojowe inicjatywy. Jednomyślny wybór przez radziecki parlament jest wyrazem uznania dla jego niestrudzonej działalności i ofiarności w realizacji celów wewnętrznych i zagranicznych.

W swoim pierwszym wystąpieniu po wyborze Leonid Breżniew podkreślił, że **uczyni wszystko, co w jego mocy, aby umacniał się kraj, życie ludzi radzieckich stawało się coraz lepsze i utrwalał się pokój na ziemi.**

Cała postępowa ludzkość osobę Leonida Breżniewa utożsamia z walką o odprężenie i rozwinięcie międzynarodowej współpracy. Dlatego też z zadowoleniem przyjęła wiadomość z Moskwy.

* * *

Akt Końcowy KBWE, podpisany przez przywódców 35 państw 1 sierpnia 1975 roku, ustalał termin spotkania przygotowawczego w Belgradzie przed jesiennymi obradami przedstawicieli ministrów Spraw Zagranicznych. Zgodnie z nim — **15 bm. zebrali się w stolicy Jugosławii delegowani przez swe kraje przedstawiciele,** aby w dyskusji ustalić datę, czas trwania oraz porządek dzienny zasadniczego spotkania. Inaczej mówiąc w Belgradzie rozpoczęto dyskusję nad problemami organizacyjnymi.

Zabierając głos na początku spotkania jugosłowiański minister Spraw Zagranicznych zaznaczył, że ma ono wielkie znaczenie, gdyż od jego przebiegu w dużym stopniu zależeć będzie jesienny sukces, a tym samym kontynuacja tego, co zainicjowane zostało w Helsinkach.

Korzystne oddziaływanie Aktu Końcowego KBWE nie ulega wątpliwości. Ale też nie ulega wątpliwości, że do pełnej realizacji celów jest ciągle jeszcze daleko. Osiągnięcie ich jest tym trudniejsze, że istnieją nadal siły przeciwne odprężeniu, które nie tylko organizują określone kampanie, lecz również odwołują się do aktów terroru. Chcą one zakłócić międzynarodowy dialog i nie dopuścić do dalszych konstruktywnych przeobrażeń w stosunkach międzynarodowych.

Dla nich spotkanie belgradzkie miałoby być forum odbywania „sądów" jednych krajów nad drugimi, „egzaminowania" czy takie lub inne punkty wyjęte z kontekstu są realizowane.

Naszym zdaniem — **spotkanie powinno być zwrócone ku przyszłości,** przyczynić się do dalszego wzrostu zaufania. W tym celu pożyteczne będzie przeanalizowanie dobrych doświadczeń z okresu wcielania w życie ustaleń Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Chodzi przecież o zaktywizowanie działań i kompleksowe wykonanie wszystkich postanowień.

* * *

Jak można było się spodziewać, i o czym pisaliśmy — pierwsze od 1936 roku **wybory parlamentarne w Hiszpanii przyniosły sukces tym siłom centrowym, które opowiadają się za reformami premiera Suareza.** Unia Centrum Demokratycznego zapewniła sobie najwięcej miejsc w Kongresie Deputowanych i w Senacie Na drugim miejscu pod względem mandatów uplasowali się socjaliści (Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza), na trzecim — komuniści — (Komunistyczna Partia Hiszpanii i Zjednoczona Socjalistyczna Partia Katalonii).

Klęskę natomiast poniósł tzw. Sojusz Ludowy, czyli blok prawicowy, zainteresowany pohamowaniem reform i powrotem do rządów frankistowskich.

Układ sił w parlamencie będzie więc taki, że **dominujący głos należeć będzie do politycznego centrum,** które zmierza do przekształcenia Hiszpanii w demokrację typu burżuazyjnego, wzorowaną na krajach zachodnich. Jednak **w życiu politycznym Hiszpanii stało się już wiele nowego.** W parlamencie są komuniści, a socjaliści reprezentują w nim nawet poważną siłę. Nie tylko zatem definitywnie została zamknięta era frankistowska, ale, co więcej, w sprzyjających okolicznościach i przy zbliżeniu stanowisk **lewica może odgrywać znaczną rolę w dalszych losach kraju.**

Nowy rząd utworzony zostanie w bieżącym tygodniu. Czy będzie to gabinet jednopartyjny, czy koalicyjny — okaże się. Unia, co trzeba dopowiedzieć, nie jest jednolitym ugrupowaniem politycznym, składa się z socjaldemokratów i chadeków, ludzi żyjących z pracy rąk i wielkiego biznesu. Różne więc krzyżują się interesy w samej partii. Może to zbliżać do pewnych sojuszów lub od nich oddalać.

W. SŁAWSKI

SPORT

GRA O PIETRUSZKĘ

Pietruszka jest bardzo smacznym warzywkiem i bardzo popularnym, a poza tym bogata jest w witaminy. Jest to jednak warzywo tak bardzo codzienne, że stało się synonimem czegoś bezwartościowego, czegoś, co nie przynosi żadnych korzyści. Stąd powiedzenie: „grać o pietruszkę", czyli grać o nic. Klasycznym przykładem takiej gry był zakończony 18 czerwca 1977 roku w Częstochowie Puchar Ligi, impreza, której próbowano nadać wielką sportową wagę, a która w istocie miała zatrudnić ligowe zespoły w czasie, gdy reprezentacja polskich piłkarzy wojażowała po Ameryce Południowej.

Pucharowi Ligi patronował katowicki „Sport", a PZPN, aby nadać tej imprezie większą rangę, postarał się o prawo startu dla zwycięzcy w rozgrywkach pucharowych UEFA. Dzięki temu rozgrywki nabrały wigoru, bo było o co walczyć. Ale też gest PZPN zrodził niebezpieczeństwo, z którego na początku Pucharu Ligi nikt sobie nie zdawał sprawy. Oto bowiem, w rozgrywkach pucharowych przystąpiły do walki zespoły, które już miały zagwarantowane udziały w spotkaniach z zagranicznymi zespołami: wrocławski Śląsk, łódzki Widzew i zabrzański Górnik. Nikt jakoś nie pomyślał, co będzie, jeśli któryś z tych zespołów ponownie uzyska prawo do gry na zagranicznych boiskach i goszczenia u siebie zagranicznego zespołu. Wszystkim się zdawało, że żadna z tych drużyn nie potraktuje Pucharu Ligi poważnie, dając tym szansę zdobycia Pucharu którejś z ambitniejszych drużyn, marzących o udziale w imprezach UEFA. Na przykład Stali Mielec. Ale mielecka drużyna w Pucharze Ligi wypadła słabo. Podobnie zresztą i w lidze nie była rewelacją.

Sądzono również, że łódzki Widzew spotkania pucharowe potraktuje ulgowo, jako że ma już i tak załatwiony start w spotkaniu o Puchar UEFA. A tymczasem Widzew sprawił wszystkim niespodziankę.

„Grali jednak w każdym meczu ambitnie — pisała 17 czerwca 1977 roku „Trybuna Ludu" — **byli lepsi od rywali i udowodnili, że wysoka pozycja, którą zajęli na finiszu ligowych rozgrywek jest jak najbardziej zasłużona".**

I o to chodziło jedenastce Widzewa. Chcieli i potwierdzili, że wicemistrzostwo pierwszej ligi w 1977 roku nie było przypadkowe. Dlaczego więc przegrali w Częstochowie?

13 czerwca 1977 roku katowicki „Sport" — patron i jeden z organizatorów całej imprezy — napisał w sprawozdaniu z dramatycznego meczu rozegranego między opolską Odrą a poznańskim Lechem:

„Dzięki temu zwycięstwu opolska Odra bez względu na wynik spotkania finałowego o Puchar Ligi z Widzewem, grać będzie w Pucharze UEFA".

Można mniemać, że był to pogląd „Sportu", że taką zasadę — logiczną zupełnie — przyjęto, organizując ten turniej pucharowy. Ale „Piłka Nożna" — pismo związane z PZPN — również 13 czerwca 1977 roku, pisząc o tym, że **„Widzew dobry i w Pucharze Ligi"**, zaczęła rozważania na temat tego, co by było, gdyby Puchar Ligi zdobyła któraś ze słabszych drużyn. Na przykład poznański Lech czy opolska Odra.

„Dlaczego więc nagradzać słabeuszy — pytała „Piłka Nożna" — **którzy występują w zestawieniach nieznacznie odbiegających od ligowych..."**

14 czerwca 1977 roku katowicki „Sport" odwołał swoje poprzednie stwierdzenie pisząc:

„Jak wielokrotnie informowaliśmy na naszych łamach, prawo startu w Pucharze UEFA uzyskuje wyłącznie zdobywca Pucharu Ligi...' (podkreślenie „Sportu").

A co będzie, jeśli wygra Widzew?

„Jeśli spotkanie finałowe — wyjaśnił „Sport" — **przyniesie sukces drużynie wicemistrza kraju (...) w imprezie tej** (Pucharze UEFA — B. M.) **wystąpi — jako trzeci polski team — czwarta w tabeli ligowej Stal Mielec!"**

Gdybym była na miejscu chłopców z Widzewa też bym starała się przegrać w Częstochowie. Na taką kombinację, jaką zrobiono z Pucharem Ligi, nie ma bowiem innego określenia jak tylko skandal. Jest to mój pogląd, ale wydaje mi się, że podobnie myśli wielu innych kibiców, którzy obserwowali, rozgrywki pucharowe i którzy całkowicie powinni rozgrzeszyć z przegranej jedenastkę Widzewa.

Przypomnę tylko, że w Pucharze zdobywców Pucharów występowała już drużyna rzeszowskiej Stali, która zdobyła Puchar grając jeszcze w drugiej lidze. W tym roku o prawo występowania w imprezie, też przecież organizowanej przez UEFA, ubiegać się będzie sosnowieckie Zagłębie oraz bytomska Polonia, która dopiero co awansowała do pierwszej ligi i wcale jeszcze nie wiadomo, czy w przyszłym sezonie uplasuje się wśród zespołów czołówki, czy też zaliczy się do „słabeuszów". Poza tym warto pamiętać, że mielecka Stal nie prezentowała w minionym sezonie doskonałej i równej formy.

W końcu sens organizowania pucharowej imprezy po to tylko, żeby którejś drużynie z ligowej czołówki zapewnić prawo gry na zagranicznych boiskach, jest co najmniej wątpliwy i chyba — mało wychowawczy. Premiowanie udziałem w Pucharze UEFA zespołu z zupełnie innych rozgrywek, dzięki sukcesowi drużyny, który ma ten udział już zagwarantowany, jak to by było w przypadku wygranej Widzewa, jest postępkiem bez precedensu. I dlatego dobrze, że wygrała opolska Odra.

BOGDA MADEJ

KSIĄŻKI W DRUKU

Wiesław Jażdżyński

przygody źle urodzonego studenta

— Zobacz wujku, ile mi zostało pamiątek po tobie.

Karol przygląda się tym pamiątkom po sobie samym. Mała gromadziła wszystko, najpierw rysuneczki. Karol nie umiał rysować, wychodziły mu jako tako tylko samotne chaty na tle zachodzącego słońca, nigdy jednak cała wieś, pojedyńcze drzewa, także samotne, nigdy las. Mówił chytrze małej — wujkowi szkoda ołówka, musi oszczędzać wyobraź sobie dużo takich drzew, to będzie puszcza. Rysował jeszcze jakieś fantastyczne góry, morza, stare zamki niepodobne do niczego, okręty wojenne, palmy, samotne oczywiście, kościoły, jakich ludzie nie widzieli i przy pomocy tych obrazków objaśniał małej wielki niezmierzony świat. Gromadziła także porzucone kartki z esami — floresami, które gryzmolił w chwilach zadumy, jakieś ozdobne litery, najczęściej gotyckie „K" lub „R", bo mu najlepiej wychodziły. Pisał czasem automatycznie jakieś słowa, głównie ze słownika socjologicznego — więź społeczna, grupa społeczna, personalizm, behawioryzm, obserwacja uczestnicząca, ankieta. Gromadziła puste pudełka po papierosach, zapałkach, buteleczki, z których dawno wyparowała tania woda kolońska, kalendarzyki z przebrzmiałymi już datami, nie zapomniała o starym krawacie, wyszczerbionym grzebyku i spince.

— Widzę Haniu, widzę i wiesz co? Nie przypuszczałem, że byłem kiedyś aż tak bogaty.

— Ale to nie wszystko wujciu, mam jeszcze twoje bajki.

Mała sięga do szuflady biureczka i kładzie na stole plik starannie ułożonych kartek, przewiniętych błękitną wstążeczką.

— Przeczytasz mi którąś? Zawsze mi czytałeś, jak tylko skończyłeś pisać. Pamiętasz?

— A jakże, wszystko pamiętam Aniu.

— No to czytaj po kolei.

Mój Boże — myśli Karol, to jest właśnie taka sytuacja, której nie da się wymyślić i wzruszenie nie poddające się żadnym określeniom, czuję, rozumiem, a określić nie mogę. Rozwiązuje wstążeczkę, upiętą w piękną kokardę.

— Bajka o niepotrzebnym serduszku, napisana dla Ani przez nieporządnego wujka Karola. Jednego razu szła przez ulicę wielkiego i ruchliwego miasta maleńka dziewczynka. W rączkach trzymała serce dobrej matki i niosła je przed sobą. Było bardzo zimno, ale serce matki wcale nie stygło, serca matki nigdy nie stygną, póki na świecie są dobre dzieci. Dziewczynka szła już bardzo długo i pytała ludzi czy nie potrzebują serduszka dla swoich dzieci, ale nikt nie potrzebował, wszyscy się śpieszyli do domów. Wreszcie napotkała staruszkę, maleńką i całkiem siwą. Zanieś serduszko matki do sierocińca, tam czekają na nie dzieci — powiedziała staruszka. Nie mogę — rzekła na to dziewczynka — bo właśnie ja jestem z sierocińca, zostało nam jedno tylko serduszko, które jeszcze bije, muszę odnaleźć matkę. A to co innego — powiedziała staruszka — ja znam tę mamusię i zaraz cię do niej zaprowadzę. A co będzie z resztą dzieci? — zapytała dziewczynka? Nie martw się, serce matki pomieści wszystkie dobre dzieci.

— Czytaj drugą, wujku.

Mała siedzi jak zawsze, małe piąstki podpierają twarz, błękitne oczy nieruchome, szeroko otwarte, wpatrują się w Karola. Teraz mamy rozmowę z Anią, napisaną przez roztargnionego wujka Karola z okazji Wigilii.

— „Wujciu, a skąd ja się wzięłam?

— Znalazłem cię w modrakach, zakwitłaś właśnie i jesteś także modrakiem.

— A dlaczego modrakiem?

— Bo masz modre oczy.

— A gdzie rosną modraki?

— W zbożu, Aniu.

— Czy ja jestem ze zboża?

— Tak, jesteś zbożową panienką.

— Dlaczego zbożową wujciu?

— Bo masz włosy koloru dojrzałego zboża.

— Kto mnie znalazł?

— Mówiłem ci już. Ja.

— Na pewno ty, wujciu?

— Na pewno ja, przechodziłem właśnie tamtędy.

— To dobrze, że ty, nikomu innemu nie pozwoliłabym się znaleźć".

Karol pamięta dobrze tamtą wigilię. Małą dręczyły poprzedniej nocy ciężkie, niedobre sny, budziła się, krzyczała, przybiegła na pięterko do Karola rozszlochana, zmarznięta, objęła go mocno rączkami i powtarzała rozpaczliwie te same słowa — śnią mi się sami dorośli ludzie, a ty jeden nie, czyja ja jestem... i Karol ułożył rozmowę z małą. Kartkę włożył do różowej koperty i wsunął do pudełka z prezentami — lalką i elementarzem Falskiego. Myślał, że będzie dobrze, kiedy mała pod choinką u Budziszów przeczyta — to jest dom Ali, to tato, a to mama, a to As.

— Zginąłeś mi nagle, byłeś gdzieś daleko i nagle się odnalazłeś, wujciu. A może ty jesteś z baśni, jak rycerz — poszukiwacz?

— Może.

— Wierzysz w bajki? Bo ja jestem już duża, w czwartej klasie, ale wierzę sobie po cichutku. A ty?

— Jeżeli baśnie mówią prawdę, to wierzę.

— Masz, przeczytaj mi baśń o rycerzu poszukiwaczu, jest najprawdziwsza ze wszystkich prawdziwych.

— Bajka o rycerzu — poszukiwaczu napisana potajemnie przez wujka Karola tylko dla Ani, nikogo więcej. Pewnego razu wybrał się ubogi rycerz w daleką drogę. Gdzie ty jedziesz? — pytała go mała siostrzyczka — czego szukasz? Ubogi jest nasz dom, ale mamy wszystko. Rycerz odpowiedział: jadę szukać kielicha, z którego pił Chrystus podczas ostatniej wieczerzy. A jak nie znajdziesz? To znajdę inną świętość, może miłość matki do dziecka, może wiarę w piękno świata, albo dobre serca ludzi? Kto niczego świętego nie znajdzie jest naprawdę ubogi, więc muszę jechać i szukać. Rozumiem cię braciszku, jedź, a ja będę na ciebie czekała. Zawsze, choćbyś bardzo długo nie wracał. Pożegnali się i rycerz pojechał. Za siódmą górą i za siódmą rzeką, znalazł na łące pastuszka, który siedział pod starą wierzbą i płakał, ale tak cichutko, że ledwie go było słychać. Dlaczego płaczesz cichutko? — zapytał rycerz. Dlatego, że mnie mama nie poznaje, nikt już nikogo nie poznaje, ptak ptaka, niedźwiedzica swojego małego misia, drzewa przestały mówić do siebie, strumienie nie śpiewają, milczą dzikie kaczki w sitowiu i żaby na moczarach. Czemu tak się stało, kto wyrządził tyle zła? zapytał rycerz oburzony ale i zaciekawiony. Straszliwy Kościej z kamiennym sercem. Przyszedł tu, rycerzu, z kraju milczenia, nakazał obojętność i ciszę. W takim razie nie ma innej rady, musimy pokonać Kościeja — powiedział rycerz — tylko jeszcze nie wiem jak. Na te słowa odezwała się stara wierzba — zerwijcie gałązkę moją, ale koniecznie od strony słońca, uczyńcie z niej fujarkę, pastuszek musi sobie przypomnieć jakąś piosenkę matki, najlepiej o złotych sercach ludzi, albo wierności. Uczynili szybko fujarkę, ale pastuszek nie mógł sobie przypomnieć ani jednej piosenki, na szczęście pamiętał rycerz — poszukiwacz, bo on nie miał kamiennego serca, lecz żywe. Zaczął śpiewać, a wtedy pastuszek podchwycił melodię i grał ją na fujarce,

Hej dęby, hej buki, zielone jawory,
już zachodzi miesiąc za szerokie bory,
już wędruje księżyc ku swojej komorze,
żegnajże go pieśnią ty szumiący jaworze...

Strażnicy Kościeja, którzy strzegli granicy, uciekli zatykając sobie daremnie uszy, bo nie mogli znieść śpiewu. Zadzwoniły delikatnie liliowe dzwoneczki łąkowe, coś sobie przypomniały, ale mało, ponieważ szybko umilkły. Pojechali dalej, aby jeszcze za dnia, ku wieczorowi dotrzeć do matki. A matka siedziała samotnie przed chatą, syna nie poznała. Najpierw musimy odmrozić jej serce — zadecydował rycerz — ale jeszcze nie wiem jak. Myślał i przyszedł mu do głowy szczęśliwy pomysł — zaśpiewał piosenkę, którą mu nuciła jego matka, kiedy był mały.

I rozdmuchał wiatr posłuszny trawy,
zerknął z góry w nie księżyc ciekawy,
a tam dziecko leżało w sitowiu,
krasnoludek zrodzony na nowiu...

Matka podniosła oczy na przybyszów, patrzyła tak, jakby chciała coś sobie przypomnieć, a z oczu popłynęły łzy, to serce zaczęło tajać. Wiatr rozdmuchał trawy, które zaczęły śpiewać cichutko, rozszeptały się liście na drzewach, jeszcze nieśmiało, ale weselej, zaszumiał już strumyk, mniej się chyba bał, gdzieś w głębi lasu ryknęła wesoło niedźwiedzica, bo swojego misia poznała, jak jaskółki swoje porzucone gniazda, a małe liski swoich braci i siostry, poznała i matka swojego syna, bo serce dobrego człowieka nie da się nikomu zamrozić na zawsze. Wiatr szumiał coraz potężniej, sosna pokłoniła się swojej koleżance brzozie, brzoza dębom, wrzosy trawom, trawy kwiatom, a matka otworzyła ramiona i zaśpiewała.

Wiatry wiejące, wiatry szumiące,
z czterech stron świata pośpieszcie,
I wszystkie tłumnie pędząc wprost ku mnie
Na skrzydłach własnych przynieście:
Z jasnego słońca — w miarę gorąca,
Z rosy perlącej — wody ciekącej,
Z kwiecistej błoni — przecudnej woni,
A z bujnych ziarek — mąki pięć miarek —
Bym jak przyrzekła — przez noc upiekła
Pieróg dla synka swego lubego...

Szła przez świat potężna pieśń życia, śpiewana przez ludzi, ptaki, zwierzęta, drzewa, trawy, wodę i wiatr, a była tak głośna, że nikt nawet nie usłyszał huku, a to pękło serce Kościejowe, choć twarde było jak kamień, a z tego serca wyfrunął maleńki, wesoły ptaszek i poleciał obwieścić siostrze rycerza — wędrownika, że wraca do niej, ponieważ już znalazł wielką świętość — piękno świata, miłość matki do syna i dobre serce całego świata.

Karol odkłada kartki, mała w dalszym ciągu podpiera twarz piąstkami i patrzy mu w oczy. Wydorośleje, ale nie pociemniały jej jasne włosy koloru dojrzałego zboża, może tylko powiększyły się jeszcze modre oczy.

— A ty wujciu znalazłeś już wszystko i wróciłeś do mnie, prawda?

Nie wie co odpowiedzieć, na szczęście ratuje go z opresji pani Nowodworna, na szczęście, gdyż Karol nie znalazłby odpowiedzi na pytanie małej. No więc — starsi sobie porozmawiają, a mała odrobi lekcje. Poszedł za panią domu do saloniku, urządzonym niemal bez reszty w polskim guście. Jeszcze po suficie, jak po niebie pędził jakiś bożek germański, może Odin, albo Wotan na olbrzymim koniu, za nim kobieta z rozplecionymi włosami, wielka, męska, zapewne Brunhilda, ale już na ścianach wisiały dobre kopie Matejki, słowiańszczyzna Wyspiańskiego, polskie dzieci Hoffmana, biały orzeł wszyty w stary gobelin, kilka pejzaży Chełmońskiego. Na stoliku dymiła już kawa.

— Pozwoliłam sobie wsypać panu dwie łyżeczki.

— Dziękuję serdecznie, a skąd pani wiedziała, że akurat dwie?

— Wiem wszystko o panu od Ani. Lubi pan czytać przy jedzeniu, przy goleniu pan śpiewa, nie lubi pan czyścić butów, a papierosy pali pan bardzo dziwnie, tylko przy pracy umysłowej, do południa nie weźmie pan papierosa do ust, jest z pana — proszę się nie gniewać — bałaganiarz, ubóstwia pan rosół z makaronem, ziemniaki miesza pan zawsze z kapustą, nie pozwala nikomu prasować spodni, wystarczy?

— Zostały mi już tylko moje najgorsze wady, błagam panią o litość.

— Pod jednym warunkiem.

— Z góry przyjmuję.

— To świetnie. Pan się wobec tego przeniesie do nas. Willa jest duża, dostanie pan dwa umeblowane pokoje na piętrze, mała będzie szczęśliwa. Niech pan tylko nie myśli, że ta propozycja przyszła mi tak łatwo. Mąż mniej, ale ja pana bardzo nie lubiłam, na szczęście mam to już za sobą i teraz pana bardzo oboje lubimy.

Karol zerka dyskretnie na matkę małej. Jeszcze teraz jest piękna, kiedy przechyla lekko głowę, składa ręce tak, że dłonie podtrzymują łokcie. Przypomina „Matkę" Rodakowskiego, smutną trochę, może nawet odrobinę zrezygnowaną, nie pozbawioną jednak ciepłego, łagodnego humoru, jak to bywa u kobiety, która wiele przeszła i wiele rozumie. Cóż, panie Karolu, mówi spokojnie, jakby wspominała jakieś odległe sprawy, próbowałam z panem walczyć o Anię, ona jedna nam ocalała.

— Pana wychowanie okazało się skuteczniejsze. Ja wiem, że pan nie studiował pedagogiki dziecięcej, nie pracował nad metodą, wszystko wiem, ale pan jej przywracał wiarę w świat i ludzi. Może bezwiednie, ale na pewno.

Wszyscy kochamy Anię, może dlatego tak wyszło?

— Może, ale pan sam widzi, że powinien zostać z nami.

— Pracujecie z mężem zgodnie, lubicie się, a co będzie potem zobaczymy, mała wydorośleje. To nasza jedyna chyba szansa.

— Mamusiu kochana — mała wpada do saloniku — lekcje odrobione. Oddasz mi teraz wujcia?

— Wujcio będzie mieszkał teraz razem z nami, na pięterku, córeczko.

Mała klaszcze w dłonie, pani Nowodworna wyciąga dłoń, Karol całuje ją z rozpaczą, jakiej nigdy dotąd nie znał. Bo oto w drzwiach przystanął inżynier Nowodworny. Jego twarz mówi wszystko — trzeba uciekać dalej.

KONIEC

Rys. Janusz Szymański-Glanc

MINIATURY KRYTYCZNE

Tadeusz Mikulski, zmarły w 1958 roku wieloletni profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, uczony zajmujący się dziejami Oświecenia i działacz kulturalny, był także pisarzem, mistrzem eseju, małej formy literackiej, w której potrafił zawrzeć całe swoje doświadczenie i olbrzymią wiedzę.

Tom **„Miniatury krytyczne"** zawiera szkice bardzo różnorodne tematycznie. Zgrupowane zostały one w działach: „Ludzie", „Książki", „Teatra" i „Pastisze". Już sam zestaw tych działów daje wyobrażenie o rodzaju i rozległości zainteresowań i najbardziej osobistych upodobań profesora Mikulskiego. Urzekający urok tego spotkania z Mikulskim chciałoby się scharakteryzować jego własnymi słowami. Pochodzą one z eseju opisującego powstanie biblioteki „Ossolineum", której trzon zawdzięczamy m. in. wieloletniej pracy S. B. Lindego. Oto, co pisze Mikulski: **„Jest w tych notatkach humor, który rozbraja, umiejętność, która imponuje, i ta głębsza świadomość kultury narodowej, dla której mamy już tylko wdzięczność i szacunek".**

O stylu Tadeusza Mikulskiego można powiedzieć to samo. Jest w tych notatkach — podobnie jak w pisarstwie St. Pigonia — „erudycja, która nie jest ciężarem tych stronic, ale ich skrzydłami".

Tadeusz Mikulski „Miniatury krytyczne", PIW, cena 60 zł.

JESZCZE BĘDZIESZ MI ORŁEM...

„Jeszcze będziesz mi orłem..." — to drugi tom wspomnień **Alojzego A. Łuczaka**. Pierwsza jego książka — „Głodny" — opublikowana w roku 1974, zawiera opis dnia powszedniego w okupowanym Poznaniu, widzianym oczami wyrostka, wścibskiego gońca w Rehfeldsche Buchhandlung. „Głodny" spotkał się z życzliwym przyjęciem ze strony czytelników, również krytyka wysoko oceniła poznawcze i literackie walory opowiadań zawartych w tomie. Tygodnik „Polityka" przyznał „Głodnemu" w roku ubiegłym swoje wyróżnienie.

„Jeszcze będziesz mi orłem..." zawiera fakty z życia autora, chwilami bardzo dramatyczne, które zostały przedstawione na szerszym tle wydarzeń z lat 1945—1949, a więc z okresu tworzenia się Polski Ludowej, kształtowania się nowej świadomości i nowych stosunków społecznych w Poznaniu. Były to również lata, w których młody bohater opowieści z uporem poszukiwał swojej prawdy i — wbrew przeciwnościom losu — swojego miejsca w życiu.

Alojzy Andrzej Łuczak „Jeszcze będziesz mi orłem..." Wyd. Poznańskie, cena 22 zł.

PAMIĘTNIKI

Armand-Louis de Gontaut de Biron, znany jako diuk de Lauzun, urodził się w roku 1747 w starej arystokratycznej rodzinie francuskiej. Jego życie wypełniły niezliczone romanse z najświetniejszymi damami Europy (m. in. z księżną Czartoryską, z lady Sarą Bunbury, może nawet z samą królową Marią Antoniną) i pogoń za sławą żołnierską, która zawiodła go m. in. w szeregi powstańców walczących o niepodległość kolonii brytyjskich w Ameryce. Akces obywatela generała Birona do rewolucji francuskiej 1789 stanowi odrębny rozdział tej biografii, zamykający się w 1794 roku jego śmiercią na szafocie.

Romantyczne i burzliwe te dzieje znalazły odbicie w pamiętnikach spisanych przez Lauzuna dla ostatniej damy jego serca, a doprowadzonych do chwili powrotu z kampanii amerykańskiej w 1783 roku. Wydane po raz pierwszy w roku 1820 stały się „Pamietniki" niebywałym skandalem towarzyskim i ta sława towarzyszyła im przez cały wiek XIX.

Dla dzisiejszego czytelnika wspomnienia Lauzuna mają przede wszystkim wartość rzetelnego dokumentu historycznego. Obejmujące schyłek panowania Ludwika XV i pierwsze dziesięciolecie rządów Ludwika XVI pamiętniki dają niezwykle wyrazisty i barwny obraz życia i obyczaju dworu francuskiego i klas panujących ancien regime'u w przededniu jego zagłady.

Czytelnika polskiego zainteresuje na pewno głośny romans francuskiego diuka z polską arystokratką Izabelą Czartoryską, matką A. J. Czartoryskiego, przywódcy Hotelu Lambert. Nabrał on europejskiego rozgłosu z chwilą ukazania się — jeszcze za życia księżnej — pierwszego wydania „Pamiętników", rzuca również wiele światła na życie arystokracji w Polsce stanisławowskiej, dostarczając ciekawych rysów obyczajowych.

Duc de Lauzun „Pamiętniki", PIW, cena 60 zł.

PROZA CZUCHNOWSKIEGO

Osobowość poetycka **Mariana Czuchnowskiego** kształtowała się w kręgu oddziaływania **Tadeusza Peipera** i awangardy krakowskiej — długo też traktowano poetę jako spóźnionego nieco jej uczestnika, właściwie do dziś opinie takie funkcjonują.

Dobrze więc, że **Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza** opublikowała dwie znaczące powieści pisarza, który po doświadczeniach poetyckiej epiki skierował swoje zainteresowania ku prozie. **„Cynk"** i **„Pieniądz"** wydaje Czuchnowski prawie jednocześnie w 1937 i 1938 roku. Obie te książki ukazują pisarza wyłamującego się z ram zakreślonych przez jego wcześniejszą poezję. **„Cynk"** przede wszystkim zdumiewa swą emocjonalną powściągliwością i wewnętrznym zrównoważeniem.

Powieść ta przywołuje tematykę więzienną, dając bogatą panoramę codziennej egzystencji ludzi odizolowanych od społeczeństwa. Bohaterowie **„Cynku"** to w większości ludzie marginesu, pospolici przestępcy, którzy przegrali swe życie, własną godność, stając się społecznością zdezorganizowaną, wewnętrznie spustoszoną, pozbawioną jakiejkolwiek duchowej kompozycji. Czuchnowski nie eksponuje uwikłań socjologicznych, nie wprowadza jasno rysujących się podziałów zróżnicowanej masy więźniów — druga opowiada o manifestacji głodowej.

„Pieniądz" jest powieścią o ówczesnej wsi, ale nie jest ona realizacją wysuwanych pod adresem Czuchnowskiego postulatów powieści realistycznej. Autor operuje tu bowiem deformacją, schematyzuje świat i przejaskrawia go w sposób groteskowy — jest to proza zbliżona do pamfletu. Ale przez ton szyderstwa, brutalnej karykatury przebija tłumiona gorycz. Jest to gorycz nie tylko pisarza, ale i aktywnego działacza, bojownika sprawy chłopskiej, który w swej codziennej praktyce obserwuje jak najlepsze nawet plany, najśmielsze projekty rozbijają się o mur nieufności, niedojrzałości politycznej, wreszcie o głupotę ludzi w imieniu których, dla których i o których podjęło się walkę.

Marian Czuchnowski „Cynk", „Pieniądz", LSW, cena 55 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PRZESŁUCHANIE DÄNIKENA

Cicho i bez rozgłosu zjawił się w Warszawie **Erich von Däniken**, autor głośnych książek, z których dwie przetłumaczono na język polski, dwie dalsze ukażą się nakładem KAW w przyszłym roku, a od lat nazwisko tego szwajcarskiego badacza nie schodzi z łamów prasy, także polskiej.

W studio warszawskiej telewizji zebrało się doborowe grono ludzi, którzy mieli Dänikena pytać o jego fascynujące odkrycia, publikacje i hipotezy. Tradycyjnie już w gronie tym zasiadł krytyk **Wacław Sadkowski**, bez którego żadna telewizyjna rozmowa odbyć się nie może. Tradycyjnie zasiadł inny „etatowy" krytyk, który do powiedzenia miał tylko tyle, że Däniken jest bajkopisarzem.

Na blisko dziesięć osób, tylko dwie miały coś do powiedzenia: **Arnold Mostowicz** i **Waldemar Łysiak**. Na blisko dziesięć osób tylko ci dwaj dyskutanci mogli być dla Dänikena równorzędnymi partnerami, po prostu reprezentują znajomość przedmiotu, wiedzę i zainteresowanie. Tak sobie myślę, jaka to mogła być interesująca audycja, gdyby wszystkich rozmówców dobrano stosując kryteria k o m p e t e n c j i. Ale to tylko marzenie.

Rzeczywistość była zabawna i żałosna. Magister matematyk, **Bogdan Miś** (a może już nawet docent?) zadał Dänikenowi zasadnicze, pierwsze pytanie: „Jakie ma pan wykształcenie i zawód". Magister Miś utrzymał się na poziomie. Däniken, jak powszechnie wiadomo, nie jest archeologiem, antropologiem, ani astronomem — i to jest zawsze koronny a r g u m e n t świata tytułów naukowych (określenie „świat naukowy" byłoby despektem dla nauki) przeciwko hipotezom Dänikena. Magister Miś nie wyszedł poza ten schemat.

Oczywiście Däniken nie zapytał magistra Misia czemu, jako matematyk, prowadzi teleturnieje i prezentuje programy telewizyjne.

Ale magister Miś był uparty. W pewnym momencie odrzucił wiedzę i świadomość, że na skomplikowane tematy nie można mówić stylem teleturniejów, więc usiłował zadać pytanie, żądając z góry odpowiedzi „tak" lub „nie". Jak w quizie Studia Telewizji Młodych'.

„Däniken rzekł: „Niech pan odpowie tak lub nie ma pytanie: „Czy przestanie pan wreszcie bić swoją żonę". Oczywiście to stary żart, w którym chodzi o to, że na tak sformułowane pytanie k a ż d a odpowiedź będzie przyznaniem się do bicia żony. I taką właśnie sztubacką metodą magister Miś chciał pogrążyć starego wygę Dänikena, który jest piekielnie inteligenty, posiadł olbrzymią wiedzę oraz zna arkana polemiki.

Mocno się chyba musiał namęczyć montażysta tej audycji, aby rozmówcy Dänikena nie wyszli na sztubaków.

Typowy był również pewien pan (może docent a może nawet już profesor?), który rzucił Dänikenowi „koronny" argument: „Twierdzi pan, że płyta z Palenque przedstawia kosmonautę, a przecież wiadomo, że to płyta nagrobkowa".

Po tym pytaniu audycja przestała mnie właściwie interesować. „Przecież wiadomo!" Takim stwierdzeniem kończy się każda rzeczowa rozmowa. „Przecież wiadomo". Bo coś tam mi wpojono, czegoś mnie nauczyli i nic — nawet własne oczy, które oglądają płytę z Palenque — nie zmieni mego zaciętego uporu, że „przecież wiadomo". Płyta z Palenque jest oczywiście płytą nagrobkową, ale przecież chodzi o zagadkowy wizerunek, jaki na niej wyobrażono przed tysiącami lat. Czemu pan z Warszawy zamiast spierać się o interpretację płaskorzeźby, stwierdza butnie i bez sensu, że „przecież wiadomo". Däniken uświadamia Nauce, jak jeszcze mało wiadomo. I w tym jego ogromna zasługa.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DOJENIE DŻDŻOWNIC

Przez parę tysięcy lat uważano, że w sercu człowieka są w jakiś sposób umiejscowione jego najistotniejsze cechy charakteru. Ktoś miał „dobre serce" — to znaczy współczuł swym bliźnim, nie dręczył zwierząt, dawał dzieciom słodycze i nie mógł patrzeć na obdzieranie żywej gęsi z piór. Kto miał „serce wrażliwe" — płakał na „Trędowatej" i mdlał na pogrzebie starej niani. Ktoś nosił w sercu złość i pragnienie zemsty, komu innemu przepełniała serce miłość do żony i dzieci.

Ale oto w ciągu ostatniego dziesięciolecia wymieniono dosłownie serca kilkunastu osobom na świecie, część tych osób żyła lub żyje z cudzym, podmienionym sercem spory kawałek czasu, i okazało się że ich charakter żadnej przy tym zmianie nie uległ. Więc gdzie szukać owych specyficznych, indywidualnych cech? W mózgu? W której jego części? Gdzie się kryje psychika człowieka i czym ona wreszcie jest?

Jeszcze nie wiemy na pewno, czym jest, ale już znaleźliśmy sposób na wtrącanie się do psychiki, na jej ustawianie i modelowanie drogą po prostu... chemiczną! Czyżby wszystko w ogóle sprowadzało się do chemii? Do sprytnego kombinowania pierwiastków w coraz to inne związki i ich wzajemne na siebie działanie?

Był niedawno duży artykuł w „Kulturze", reasumujący niejako to wszystko, o czym wycinkowo pisze się już po całym świecie i o czym wszyscy po trosze słyszeliśmy: o przerażających odkryciach naukowców, które pozwalają wywołać w człowieku sztucznie dowolne „przeżycie" psychiczne, dowolny nastrój. Przykłady są zdumiewające. Oto substancja, która powoduje nagłe i wyraźne przypomnienie sobie rzeczy dawno znanych i zapomnianych. Oto inna, po zaaplikowaniu której zapomina się na amen o przeżytych sprawach i zdarzeniach. Istnieje specyfik pozbawiający człowieka zdolności podejmowania rozsądnych decyzji i w ogóle skoordynowanego działania. Istnieje inny, zwiększający przenikliwość wyobraźni, pozwalający dostrzec nowe aspekty sprawy, znaleźć rozwiązanie trafnej zagadki. Są sposoby wywołania natychmiastowego nastroju wesołości lub przygnębienia, strachu przed ciemnością i zupełnej obojętności na niebezpieczeństwo, są sposoby spotęgowania weny twórczej u pisarza i weny seksualnej u starszego pana, a także wręcz odwrotnie. Można zaaplikować człowiekowi coś takiego, że zacznie natychmiast wierzyć we wszystko co mu się powie i skłonny będzie wykonać każde polecenie, a można też czym innym porazić kogoś tak, że przestanie reagować na wszystko albo przeciw wszystkiemu się zbuntuje.

Można tę straszliwą wyliczankę toczyć aż do absurdu, a najbardziej absurdalnym będzie zawsze fakt, że to wszystko jest całkowita prawda: uczeni mają już naprawdę w swoich retortach takie możliwości i naprawdę może przyjść taki czas, kiedy człowiek nie będzie mógł być odpowiedzialny za swoje czyny. To przecież chemia decyduje, to ona kazała coś podjąć, czegoś zaniechać, coś znienawidzieć, a co innego wyśmiać, zapomnieć o wszystkim, nie zapomnieć o czymś nigdy. Decyduje chemia, którą ktoś — nie wiadomo kto i po co — mógł każdemu zaaplikować. Życie takich ludzi nie będzie już życiem ludzkim. Nie starcza wyobraźni, żeby sobie przedstawić świat istot, programowanych chemicznymi recepturami. Na razie mogę sobie tylko wyobrazić, że ktoś zażyje coś tam i od razu przyjmie za objawioną prawdę to, co pisze — powiedzmy — czasopismo komiksowe „Relax": „Jak zrobić fujarkę z dżdżownicy? Najpierw należy dżdżownicę wydoić wyciskając z niej soki żywotne. Potem trzeba wziąć wiertarkę i nawiercić w dżdżownicy kilka otworów. Tak spreparowaną dżdżownicę trzeba włożyć do ust i dąć wygrywając melodię „Babcia stała na balkonie".

Po zażyciu większej dawki tego samego środka wiarotwórczego ktoś inny uwierzy nawet, że nie ma w kraju lepszych dowcipów do drukowania, a także — że wcale na to nie brakuje nam papieru...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

D O M

Pojęcia „dom" używa się w dwojakim sensie: raz jako budynek, a innym razem dla określenia więzów szczególnej natury, jakie łączą rodzinę. Wtedy też często mówimy „dom rodzinny", co jednakże nie oznacza tylko pomieszczenia, w którym człowiek przyszedł na świat, gdyż dziś ludzie w większości przychodzą na świat w klinikach położniczych, ani też nie oznacza tylko pomieszczenia, w którym spędziło się dzieciństwo, młodość i jakiś tam kawałek dorosłego życia. „Dom rodzinny" to coś więcej.

Wszakże, aby istniał dom rodzinny musi istnieć też dom w znaczeniu materialnym, czyli po prostu pomieszczenie, w którym ludzie muszą mieszkać. Dlatego też w naszych czasach, które charakteryzują się między innymi szybszym dojrzewaniem młodzieży, możliwością szybszego i prawie nieograniczonego startowania do kariery zawodowej, imigracją, rozwojem przemysłu i innych dziedzin życia gospodarczego, kwestia mieszkaniowa nabiera szczególnego znaczenia. A przy tym wszystkim trzeba ją rozpatrywać w kilku płaszczyznach, bo dla jednych problem mieszkania to warunek istnienia rodziny, dla innych — to problem poprawy warunków życia, a jeszcze dla innych — to sprawa zapewnienia sobie spokojnej starości. Coraz częściej mówi się u nas o „drugim domu", co niekiedy może brzmieć dość dwuznacznie, a kryje się pod tym dążenie do zapewnienia sobie stałego mieszkania na lato.

Swego czasu telewizja propagowała kupno wiejskich chat. Bardzo to pożyteczna akcja, jako że wieś gwałtownie buduje się, co jest zupełnie naturalne, opuszcza stare chaty, które po adaptacji nadają się znakomicie na mieszkania na lato. Częstokroć są to budynki, które warto zachować jako pamiątki przeszłości, o które wieś już nie dba. A nie dba też z pobudek naturanych. Budując bowiem nowy dom, rolnik dąży do tego, aby jego warunki życia na wsi dorównywały warunkom życia w mieście. Miałem niedawno okazję oglądać taki „wiejski dom", który wprawdzie architektonicznie niczym się nie wyróżnia i o którym trudno byłoby powiedzieć, że jest ładny, ale który też był wyposażony w sposób nie odbiegający od miejskich standardów. Ogrzewany centralnie, z bieżącą ciepłą i zimną wodą, gazem z butli, garażem, telefonem. Takich domów coraz więcej na wsi, co wcale nie oznacza jeszcze, że wszystkie domy budowane na wsi są już takie. Ale też i nie wszystkich rolników można jeszcze nazwać przodującymi i dobrze gospodarującymi.

Dla mieszczuchów wieś kojarzy się z prymitywizmem. Mieszczuchy chętnie jadą na wieś, aby odpocząć od cywilizacyjnych dobrodziejstw, aby odetchnąć świeżym powietrzem, poleżeć pod gruszą, połazić po lesie, posiedzieć z wędką nad rzeką lub jeziorem. Nie wszyscy oczywiście, bo są i tacy, którzy niechętnie rezygnują z dobrodziejstw cywilizacji i męczą się latem w przepełnionych kurortach i modnych wczasowiskach, szukając tam nie byle jakiego kąta, ale pokoju w domu z kanalizacją, łazienką, telewizorem i dobrą kuchnią. To rzecz gustu. Jedni wolą modne i przepełnione kurorty, inni wiejską ciszę. Mieszczuch na ogół nie dziwi się, kiedy spotyka dobrze wyposażone domy w miejscowościach wczasowych, ale dziwi się, kiedy zobaczy taki dom w „zapadłej wsi". Tylko, że zapadłych wsi robi się coraz mniej i będzie ich coraz mniej. Wszystko przynajmniej na to wskazuje i do tego się dąży.

Mieszczuch dziwi się: — po co chłopu taki dom? Mieszczuch nie zawsze rozumie, że malwy w ogródku i malowane ściany pod strzechą to dobre i atrakcyjne dla niego, ale nie dla tych, którzy zdecydowali się żyć i pracować na wsi. Mądry chłop najpierw inwestuje w gospodarkę, kupuje maszyny, choć ma z tym jeszcze trudności, buduje obory, chlewnie i stodołę, choć też ma kłopoty z materiałami budowlanymi, aby rezultaty tych inwestycji móc wykorzystać następnie właśnie na poprawę warunków życia i pracy. Nie ma w tym nic dziwnego, że pracując ciężko, chce żyć nie gorzej niż żyją ludzie w mieście. Tego typu dążenia są godne pochwały, gdyż są one motorem wielu poczynań w rolnictwie. Rolnik jest często głuchy na apele i wezwania, on po prostu kalkuluje, zastanawia się, co będzie miał z takich, czy innych gospodarskich poczynań.

My, mieszkańcy miast, zwykliśmy patrzeć na sprawy wsi przez pryzmat anachronicznych stereotypów, ukształtowanych w zupełnie innych czasach, w innych warunkach i wcale nieźle funkcjonujących do dziś. Ale wieś zmienia się. Proces przemian na wsi nastąpił znacznie później niż w mieście, ale też i teraz dokonuje się szybciej. Tym bardziej że państwo mając na względzie program żywnościowy stwarza dla takich przeobrażeń korzystne warunki. Mieszczuch stykając się ze współczesną wsią staje częstokroć zaskoczony, choć czasem trudno mu samemu przed sobą przyznać się do takiego zaskoczenia. Ale coraz częściej dochodzi do wniosku, że wieś z jego wyobrażeń nie pasuje już do wsi rzeczywistej, do wsi z 1977 roku. Ale też i wsie są różne. Dlatego warto, podróżując latem po kraju, spędzając wakacje „pod gruszą" lub w jej pobliżu zrewidować nasze stereotypy i odrzucić to wszystko, co nie pasuje już do rzeczywistości. Będzie to bardzo pożyteczny „rewizjonizm".

MARCIN RODAK

magazyn

MARIAN MISZALSKI

STAJNIA

Nudząc się niebywale uczestniczyłem w kolejnym posiedzeniu Sekcji Sportu Wyczynowego naszego Klubu. Kupno-sprzedaż zawodników, transakcje wymienne, kwestia zakupu jednego meczu i odsprzedania dwóch innych, załatwienie adwokata dla jednego z naszych chłopców, który porozrabiał troszkę w nocnej knajpie — ot, bieżączka. Ciekawie zapowiadał się jedynie piąty punkt programu, prezentacja nowych osiągnięć inżynierii genetycznej na niwie projektowania wyczynowców, sportsmenów-supermenów.

W przerwie podszedł do mnie prezes Z., z sekcji koszykówki.

— Mam bombę — powiedział z tajemniczym uśmiechem. Rozejrzałem się po hallu. Przewodniczący poszczególnych sekcji szeptali sobie coś do ucha, ściskali ręce, poklepywali po plecach. Wreszcie wznowiono obrady. Na wstępie przewodniczący Sekcji Tenisa Stołowego przedstawił swą rewelację, długo i starannie chronioną przed wścibstwem prasy i wywiadem obcych klubów. Ten niewysoki chłopiec miał prawą rękę tak niebywałej długości, że kiedy wyciągnął ją w bok dotykał palcami odległej o jakieś trzy, cztery metry ściany... Prezentacji zawodnika dokonał jego „genetyczny ojciec", profesor Dziąba.

— Dzięki wstrzyknięciu memu pupilowi genu XCVY346, pochodzącego od słonia, uzyskaliśmy w prawie ręce Władzia efekt trąby — tu pieszczotliwie poklepał zawodnika po policzku. — Ręka mego podopiecznego może wysuwać się błyskawicznie na odległość czterech i pół metra. Nie sądzę, by przepuścił jakąkolwiek piłkę. Grał już zresztą sparringowo przeciwko trzem rywalom naraz, przy jednym stole, wygrywając do zera... — oświadczył z dumą profesor. — Pozostawałaby jeszcze tylko kwestia mieszkania dla mego pupila, dodatkowego metrażu na nietypową długość ręki...

Wniosek przeszedł. Jako następny zaprezentował się zawodnik Sekcji Gimnastycznej, Cuzel. Jego „konstruktorem" był znany genetyk, dr Bagula-Hirsztajn.

— W wyniku długoletnich badań udało mi się opracować metodę niweczenia kręgosłupa u kręgowców, bez żadnych ujemnych skutków dla organizmu — rozpoczął. — Co więcej, uzyskałem jednocześnie wzmocnienie niektórych mięśni i ich większą elastyczność.

Tu skinął na Cuzela, który jak wąż zwinął się w kłębek, a potem rozprężył się nagle, odbił od podłogi — i oto wisiał u żyrandola, zaczepiony jednym tylko palcem.

— Małpa, niech ja skonam, prawdziwa małpa — ucieszył się przewodniczący zebrania Prezes Klubu.

— Wróć — rozkazał Bagula-Hirsztajn. Cuzel puścił się kandelabra i klapnął na parkiet. Jak piłka porwał się zaraz na nogi, jeszcze jedno odbicie i wspaniałym długim susem znalazł się na kolanach Prezesa na drugim końcu sali.

— W porządku — powiedział Prezes — Następny.

Był nim pupil mojego kolegi, koszykarz Wańtula. Wańtulę wyhodował docent Piekarski, znany hormonolog wojskowy. Kiedy wprowadzono Wańtulę, sala jęknęła z zachwytu. Mierzył on sobie ni mniej ni więcej tylko trzy metry osiemdziesiąt centymerów wzrostu! Był absolutnie poza zasięgiem bloku przy koszu. Zerwały się gromkie brawa, a docent Piekarski rozdawał wokół ukłony.

— Ilu pan może wyhodować rocznie? — zainteresował się Prezes.

— Dwóch, trzech góra — odparł docent.

Prezes pokiwał głową.

— Można by jednego, najniższego sprzedać i wesprzeć kimś sekcję boksu...

— Nie trzeba! — zaprotestował żywo przewodniczący Sekcji Bokserskiej. Zdziwiliśmy się, bo nasza sekcja bokserska mocno kulała od kilku sezonów i bliska była spadku z ligi. Sprawa wyjaśniła się, gdy szef ekipy bokserskiej przedstawił swój nowy nabytek, Felisiaka. Felisiaka zaprogramował genetycznie Ligęza, młody, dobrze zapowiadający się biolog, jeszcze bez tytułu. Pokaz był krótki: Ligęza wziął ze stołu ciężki, mosiężny przycisk i walnął Felisiaka w podbródek. Ten ani drgnął, uśmiechając się tępo. Ligęza uderzył go jeszcze **w dołek, a potem poprawił szerokim** zamachowym, raz jeszcze „na punkt". Felisiak nawet się nie zachwiał.

— Odłączyłem mu pewną część układu nerwowego — wyjaśnił Ligęza — Ciosy absolutnie nie działają na tego człowieka. Natomiast dzięki pewnej... nazwijmy to modernizacji trzustki, może on w ciągu jednej doby dowolnie przybierać i tracić na wadze. Słowem, może być obsadzany w kilku wagach jednocześnie podczas jednego turnieju.

Prezes Klubu cmoknął z zachwytu.

— Ile panu trzeba czasu na takiego drugiego?

— Niestety, dobre dwa lata.

— Długo — skrzywił się Prezes — Ale działaj pan, działaj...

Kogo tam mamy jeszcze?

Szef Sekcji Pływackiej przedstawił nam teraz nadzieję w dystansie dwustu metrów delfinem, Kabasińskiego. Kabasiński miał mianowicie zamiast rąk i nóg płetwy. Oczywiście — jego hodowca, profesor Miksa nie zdradził tajemnicy; powiedział nam tylko, że płetwy wyrosły Kabasińskiemu po wstrzyknięciu pewnej dawki ikry jesiotra (dożylnie) z domieszką hormonu XX.

— Czy aby przepisy pozwolą mu na start? — zaniepokoił się Prezes, patrząc na potężną płetwę ogonową zawodnika.

— Ależ oczywiście — powiedział nasz radca prawny — Kabasińskiego zaliczymy do zawodników ułomnych, a takim nikt nie zabrania startować razem z normalnymi.

Największą jednak sensację wzbudził opiekun Sekcji Jeździeckiej, Józef Kita, który zapowiedział nam dżokeja Bulaka. Zanim go przedstawiono Kita poinformował, że widzi w nim szansę na wygranie nie tylko wszystkich gonitw na wszystkich, ale to absolutnie wszystkich dystansach, z Wielką Pardubicką i Derbami włącznie, ale widzi w nim także pewnego zwycięzcę Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego na najbliższej Olimpiadzie.

— Ho, ho — roześmiał się Prezes Klubu na te przechwałki Józia — nie gadaj tyle, pokaż nam tego zucha...

Kiedy wprowadzono na salę dżokeja Bulaka — oniemieliśmy. Bulak był centaurem. Trzymało go na lince dwóch stajennych, a on niecierpliwie pogryzał uzdę, nerwowo przebierał cienkimi, rasowymi nogami araba i uśmiechał się do nas z satysfakcją i wyższością.

Zapadło milczenie. Pierwszy załamał się przewodniczący Sekcji Koszykówki:

— Józiek, jak Boga Kocham, coś ty zrobił — szepnął i zakrył oczy dłonią...

* * *

... I wtedy przebudziłem się z tego koszmarnego snu.

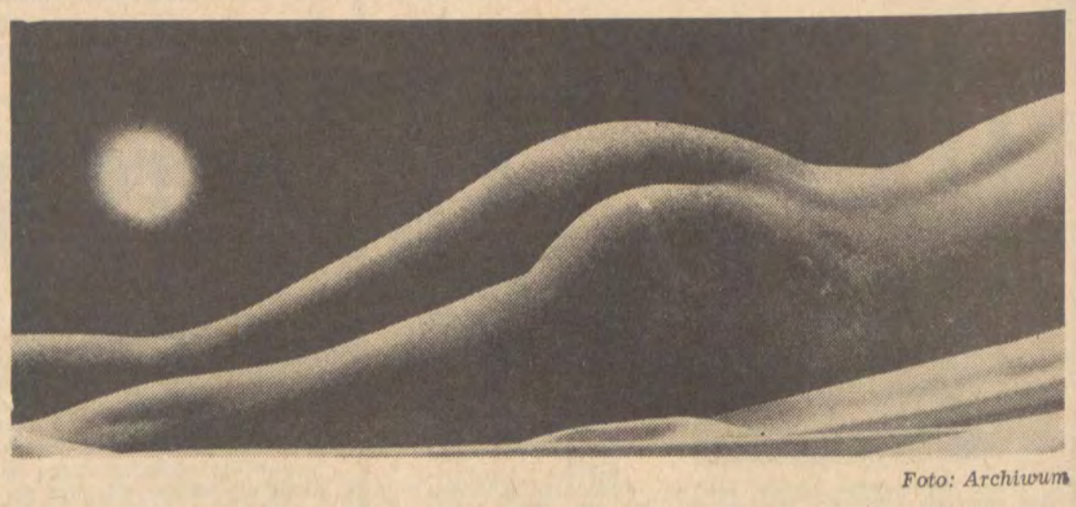

Foto: Archiwum

ANDRZEJ JÓŹWIAK

NASZ CZŁOWIEK W PORNO - SHOPIE

Myśl o sposobie w jaki postępujesz, a rezultaty same dadzą znać o sobie.

(M. Gandhi)

Fala potężnej krytyki przetoczyła się przez łamy naszej prasy (łódzkiej również, a może i nawet przede wszystkim). Nasi ludzie wdarli się podstępem do obozu wroga i nie bacząc na zużycie energii psychicznej, fizycznej, zmęczenie i wyczerpanie podpatrzyli, podsłuchali, po czym wrócili do kraju i o wszystkim dokładnie poinformowali tzw. opinię publiczną. Wykazali spryt, oddanie dla sprawy, intensywność świadomości i zdolności do nadludzkiej koncentracji. Praktycznie udowodnili banalną zresztą tezę, że siły duchowe i fizyczne często wzmagają się wraz z ich wydatkowaniem. Nasi ludzie wprawdzie już wcześniej, nie szczędząc sił i środków, odkryli, że Beethoven był głuchy, Homer ślepy, a Hefajstos kulawy, ale teraz wpadli na trop istnienia na Zachodzie przemysłu pornograficznego.

Blady strach padł na zachodnich porno-biznesmenów z zainteresowaniem, ale i ze strachem obserwujących poczynania naszych ludzi rozpisujących się o zboczeniach seksualnych, technikach edytorskich wydawnictw porno, masochizmie, sodomii itp. Z radości podskakuje do góry w swoim grobowcu G. Ellington, który w roku 1867 napisał książkę „The Women of New York, or the Underwold of the Great City (Kobiety Nowego Jorku, czyli podziemie wielkiego miasta). Ellington 100 lat później znalazł w PRL swych zwolenników zwalczających wydawnictwa i filmy pornograficzne i seks jako dziedzinę eksploatacji handlowej. Siostry Ada i Minna Lester, które w Chicago założyły w 1900 roku „Everleigh Club" najbardziej wykwintny i luksusowy w owym czasie dom publiczny w Ameryce, mają ponoć przesłać z zaświatów specjalnie ufundowaną nagrodę „Medal za walkę ze standaryzacją i komercjalizacją w dziedzinie seksu".

Był taki czas, kiedy nasi ludzie pisali o narkomanii. Pisali więc o wyniszczeniu organizmu, konfliktach z otoczeniem, głodzie narkotycznym itp., a przy okazji piętnując morfinizm i degenerację społeczeństwa konsumpcyjnego, heroinomanię, dekadencję i bagno upadku kultury zachodniej, kokainizm itp., przeprowadzili MIMOWOLNY, REGULARNY INSTRUKTAŻ! A potem lekarze psychiatrzy i pracownicy leczniczych zakładów zamkniętych załamywali ręce. Na efekty tej literatury długo nie trzeba było wtedy czekać. Nasi ludzie wymyślili więc teraz nowy szał: PORNO.

W tych wszystkich opowieściach naszych ludzi brakuje mi jednak jednego: muzyki. Seks zawsze kojarzył się z muzyką, a nie z „Dziennikiem Telewizyjnym". Panowie specjaliści od porno zwróćcie uwagę na muzykę. Tam musi być muzyka, chociażby po to, aby utrzymać właściwe proporcje. Muzyka uszlachetnia. Łagodzi obyczaje.

Przecież niejeden z historyków jazzu podkreśla rolę jaką dla rozwoju tej muzyki odegrało Storyville, specjalnie wydzielona część Nowego Orleanu. Ta najsłynniejsza oaza rozpusty w dziejach świata zwana Dzielnicą Czerwonych Świateł ściągnęła w 1897 roku nie tylko takie znakomitości jak miss Lulu White, piękną Jose Arlington (najładniejsze nogi Nowego Orleanu) i setki innych postaci ze światka handlu seksem, lecz i muzyków uprawiających muzykę, zwaną później jazzem, muzykę, która zrobiła międzynarodową karierę. Ten raczkujący wówczas przemysł porno-muzyczny ma swoją bogatą literaturę, a noce w Nowym Orleanie to znakomicie oddana w wielkiej literaturze (nasi ludzie piszą o tym znacznie gorzej, pospoliciej, do granic wulgarności. Za bardzo są zafascynowani dupą i jej totalną krytyką) finezja i subtelność spraw trudnych, obsesja miłości podeptanej, autentyczny klimat, mimo pozornie grubych elementów formy.

Interesuje mnie więc ten temat nie tylko jako historyka kultury i nie tylko jako szefa przedsiębiorstwa rozrywkowego, ale również jako życiowego pedanta, który lubi mieć wszystko systematycznie ułożone w szufladach biurka, szafy i głowy. Dlatego też zdenerwował mnie pewien uważny czytelnik, który zwrócił mi uwagę, że w moim felietonie „Sex i rozrywka" przewijający się tam motyw fabularny „oddziału" PAA PAGART w Nowym Jorku nie ma nic wspólnego ani z seksem, ani z rozrywką. Otóż ma, ponieważ wokół wielkich przedsięwzięć tworzą się wielkie mity!

Krążą więc bzdurne pogłoski jakoby nasz przedstawiciel w Nowym Jorku otworzył sobie prywatną dyskotekę z elementami porno. Plotki te biorą się chyba z tego, że ludziom małych umysłów trudno jest zrozumieć wyższe cele przyświecające utworzeniu delegatury (?) „Pagartu" w N. Jorku. Niesłusznie więc wokół tej słusznej koncepcji tworzy się atmosfera lekko cynicznej tolerancji. Jak więc widać, jest tu i seks i rozrywka, żywa rozpacz i frenetyczna wesołość. A o to właśnie chodzi zarówno w porno jak i show-biznesie. I nie trzeba tu skomplikowanej wyobraźni wolterowskiego Prostaczka, aby to zrozumieć. Tym bardziej więc można zrozumieć naszych ludzi, którzy szperają w porno-sklepach i klubach, przyprawiają sobie wąsy i zakładają hippiesowskie peruki i przez nikogo nie rozpoznani oglądają porno-filmy, zdejmują ciemne delegacyjne garniturki (teczki zostawiają w hotelach), zakładają dżinsy, na szyjach wieszają wisiory, bransolety na rękach i tak przebrani wkradają się cichcem do ośrodków przemysłu pornograficznego. Po czym wracają do kraju i to wszystko opisują krytycznie udowadniając tym samym, że definitywnie zakończyli z parafialnym terenem aktywności i wkroczyli w etap kultury dżentelmenów. Są dżentelmenami i synami dżentelmenów. Nasi ludzie w porno-shopach nie mają wypieków na twarzach, są beznamiętni, obiektywni, ludzcy i samotni w tłumie. Myślę, że są tacy jak pani z Radzynia Podlaskiego, która zapytana przeze mnie w restauracji „Stylowa" czy czytała Stefana Zweiga „24 godziny z życia kobiety" odpowiedziała z oburzeniem: „No wie pan! JESTEM PORZĄDNĄ DZIEWCZYNĄ".

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

ANEGDOTY ROSYJSKIE

Aleksander Puszkin

NOS NOSOWI NIERÓWNY

Kniaź Bagration miał potężny gruziński nos, a partyzant Dawydow — jakby nie miał nosa zupełnie. Dawydow melduje się u generała Benigsena:

— Książę Bagration polecił mi zameldować waszej ekscelencji, że nieprzyjaciela mamy przed nosem.

— Przed czyim nosem, Denisie Wasiliewiczu? — pyta generał. — Jeśli przed pańskim, to wróg jest rzeczywiście bardzo blisko, ale jeżeli przed nosem kniazia Bagrationa — no to mamy jeszcze czas zjeść obiad!

LOS BOHATERA

Oddział jekatierinburskiego pułku wpadł do nieprzyjacielskich okopów niszcząc wroga. Potem żołnierze wycofali się zabierając ze sobą rannych kolegów. Oficera, który dowodził tym oddziałem przedstawiono wielkiemu księciu Mikołajowi Mikołajewiczowi.

— A więc to pan jest bohaterem tego starcia? — zapytał wielki książę. — Może nam pan zobrazuje przebieg walki?

— Po opuszczeniu własnego bastionu żołnierze nasi doszli do wrogich okopów, po czym zatrzymali się nie chcąc iść dalej...

— Co też pan bredzi! — wykrzyknął wielki książę.

— Jak panu nie wstyd? — warknął Filozofow.

— Wynosić się natychmiast! — ryknął Mieńszykow.

CHŁOP I DOKTORZY

Pijany chłop ociosywał wiąz i zranił się w nogę przy tej robocie. Doktorzy leczyli go 22 dni w szpitalu. Winien był im na okrągło 5 rubli i 50 kopiejek. Nie mógł oddać tej kwoty, ponieważ był goły jak święty turecki. Powiedzieli: — Chodź, bracie, na policję!

Poszedł. Wsadzili go do kozy mówiąc:

— Jak przyniesiesz pieniądze to cię wypuścimy!

O KRYTYKACH

Kucharz gotował obiad. Nieczystości, kości, krew wyrzucał i wylewał na dwór. Psy stały pod drzwiami i rzucały się na to, co wyrzucał kucharz. Kiedy zabijał kurę, cielę, i wyrzucał krew i kiszki, kiedy rzucał kości, psy były zadowolone i mówiły: On wspaniale gotuje obiad! To doskonały kucharz!

Kiedy zaś kucharz zaczął obierać jaja, kasztany, karczochy i wyrzucał łupiny na dwór, psy się rzuciły, powąchały, odwróciły pyski i powiedziały warcząc: Przedtem dobrze gotował obiad, a teraz się popsuł, to partacki kucharz!

Ale kucharz dalej gotował obiady i ci, dla których były przygotowywane — jedli je ze smakiem.

PRZYPOWIEŚĆ BIBLIJNA

Staruszek z Sudkowa opowiada: — Szedł Chrystus Pan drogą z uczniami swoimi. — Idźcie — powiada — prosto, a kiedy zobaczycie krzyż — nie skręcajcie na bok — bo tam piekło.

— Aha — powiedzieli uczniowie — zobaczymy jakie to tam owo piekło?

Idą a tu kupa złota w krzakach leży.

— Chrystus powiedział, że tu piekło, a oto nam się bogactwo upiekło! Sami tego złota nie udźwigniemy — trzeba wozu poszukać i konia. Rozeszli się więc i kombiują w skrytości ducha — po co się złotem dzielić z kamratem? Więc jeden wyjął nóż zza cholewy i na kamieniu wyostrzył. Drugi upiekł podpłomyk i zaprawił skuteczną trucizną.

Spotkali się znowu uczniowie Chrystusa. Ten pierwszy dźgnął tego drugiego nożem i ukatrupił na miejscu. Temu zarżniętemu wypadł podpłomyk z torby. Ten pierwszy zjadł ów podpłomyk z wielkim apetytem, bo głodny był bardzo. I tak obaj zginęli marnie.

Aleksiej Suworin

AGITATOR

— Będę żądał całkowitego wywłaszczenia ziemi! — wołał kandydat na posła do carskiej Dumy. — Niech panowie szlachta oddadzą chłopom ziemię bez odszkodowania!

— Ależ i pan sam jest szlachcicem! I pan posiada majątki ziemskie! — wołali oponenci.

— Owszem, mam kilka wiosek, ale obdłużone jak wszyscy diabli! A w Dumie mogę zrobić karierę. Jestem bardzo wymowny!

LEW O DŁUGICH USZACH

Szebeko włożył galowy mundur. Żona powiada:

— Jakiś ty piękny. Wyglądasz jak lew!

Szebeko pyta ordynansa Bondarenki:

— Czy rzeczywiście wyglądam jak lew?

— Tak jest, panie generale!

— A widziałeś ty kiedy żywego lwa?

— Żywego nie, ale na obrazku widziałem!

— A gdzieżeś go widział?

— Jak pan Jezus wjeżdżał na nim do Jeruzalem.

ZŁOTODAJNY WRZÓD

Kuźmin, profesor medycyny, mówił do moskiewskich studentów:

— Fistuła, to złotodajne wrzodzisko! Nigdy nie należy doprowadzić do jego wyleczenia!

Ze starych pamiętników wyszperał: H.R.

ANDRZEJ GRUN

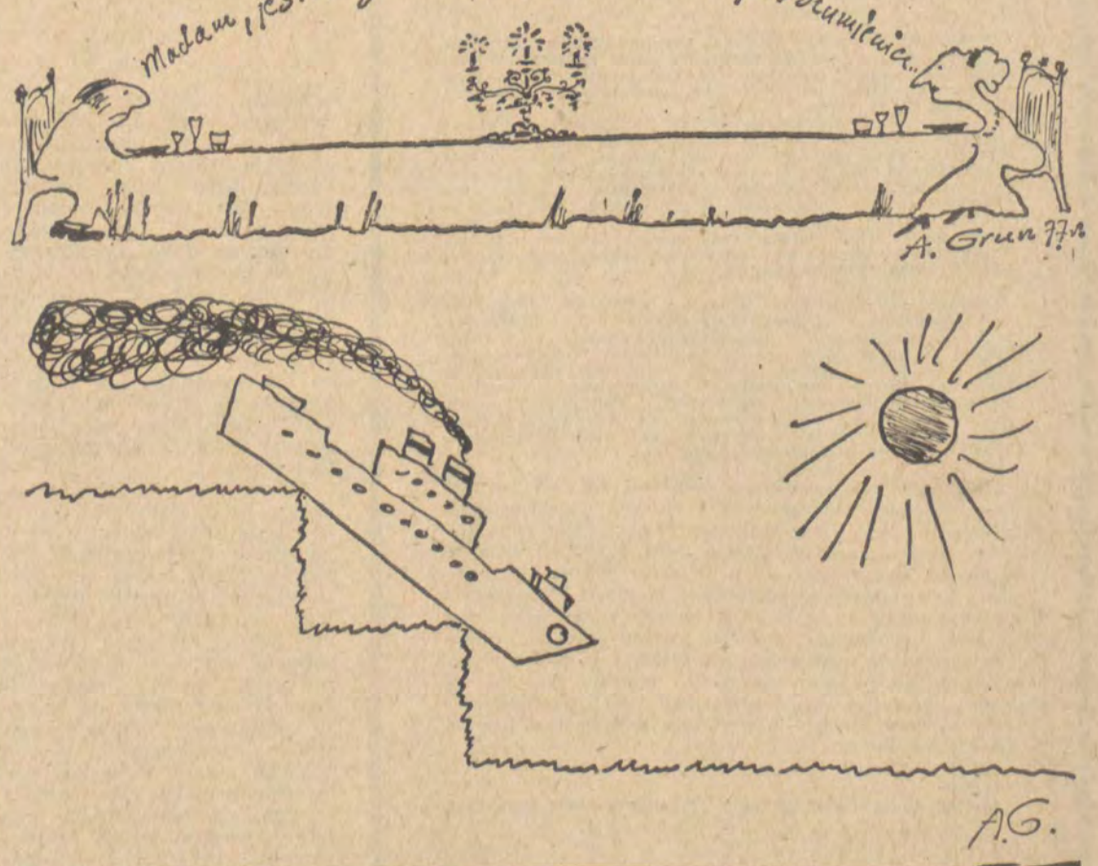

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1316. W-11.